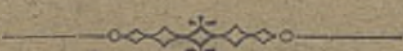
Nr. 3.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.



Rok XX.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1914.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna **8 Koron (Mk)**; dla Ameryki **9 Koron.**

Uprasza się o łaskawe uiszczenie prenumeraty na rok 1914, pod adresem:

Redakcya »Roczników Zgromadzenia« — Kraków, Stradom 4.

Redakcya uprasza najuprzejmiej Czcigodnych Księży Superyorów oraz Czcig. SS. Przełożone o łaskawe nadsyłanie sprawozdań o pracy i stanie powierzonych im domów i dzieł, w myśl statutów ułożonych przy zakładaniu naszego kwartalnika oraz stosownie do „Słowa wstępnego“, zamieszczonego w pierwszym zeszycie tychże „Roczników“ (1895 r.).

Załączamy też gorącą prośbę o pisanie nekrologów naszych Zmarłych.

NR 3

Wycieczki misyjne do zachodniej Kanady w r. 1913.

Sprawozdanie ks. Konrada Tyżyńskiego.

W styczniu w roku 1913 wybraliśmy się razem z ks. Janowskim do niedawno jeszcze zupełnie bezludnej prowincyi Saskatchewan w zachodniej Kanadzie. Kanada, obszarem przewyższająca Stany Zjednoczone wraz z Alaską, politycznie składa się z dziewięciu zaprzysiężonych prowincyi: Prince Eduard, Nova Scotia, New Brunswick, Quebec, Ontario, Manitoba, Saskatchewan, Alberta i British Columbia. Do tych prowincyi przylega pas, stanowiący Kanadę północną. Prócz tego mamy jeszcze północno zachodnie terytorya. Cała emigracya dzisiejsza, z Europy czy z Ameryki, ciągnie do czterech zwłaszcza prowincyi, które należą do najżyźniejszych na całej kuli ziemskiej, t. j. do Manitoby, Saskatchewan, Alberty i do części Columbii. Prowincye te stanowią już dzisiaj największy spichlerz zboża na globie ziemskim, większy aniżeli Rosya, a bogatszy aniżeli Egipt, Indye i Argentyna. Prowincye Saskatchewan i Alberta miały być celem kilkutygodniowej mej pracy misyjnej.

Po kilkudniowej podróży przez Stany Zjednoczone stanęliśmy w piątek dnia 17. stycznia wieczorem w Reginie, głównem mieście prowincyi Saskatchewan. Spieszymy do rezydencyi biskupiej, gdzie nas serdecznie przyjął ks. Olivier Eleazar Mathieu, biskup dyecezyi Regina. Po kolacyi omówiliśmy plan pracy naszej misyjnej. Mnie dostał się w udziale cały t. zw. dystrykt OO. Redemptorystów. Na drugi dzień wczesnym rankiem ruszyłem w te nieznane dla mnie światy.

Była to sobota. Słońce jeszcze spało. Na ulicy żywej duszy. Wokoło cisza, przerywana skrzypieniem śniegowców

moich po zmarzniętym śniegu. Mróz dogryzał dochodząc do 65 stopni poniżej zera. Widząc, że to nie Stany, spuszczam czapkę na szyję i policzki, zezwalając zimie dokazywać tylko z oczyma, których łzy zamieniała w grudki lodu. Po kwandransie stanąłem na stacyi. Pociąg wkrótce nadjechał, cały okryty pancerzem lodowym. Okolice, które mijam monotonne, smutne. Są to bezbrzeżne preryе, na których co 2, 3 mile widać śniegem pokryte chaty, i gdyby nie konie hasające wokoło nich, myślałbyś, że to kupy śniegu, które wiatr zapędził. Wkrótce mróz ściął szyby wagonowe i pozbawił oko nawet tego krajobrazu.

W pociągu gwarno. Istna wieża Babel. Dominował jednak język ruski. W Kanadzie, gdzie okiem rzucisz, zoczysz Rusina. Takisam, jak w kraju, jeszcze zbyt cywilizacyą nie popsuty, w czapce chmur sięgającej, w kożuchu wywróconym, w czobołach na nogach. Zaduch w wagonie z niedobrze wygarbowanych kożuchów przyprowadza człowieka niemal do mdłości. — Po trzech godzinach stanąłem w Melville, krzyżowce kolei tutejszych.

W zachodniej Kanadzie istnieją 4 wielkie systemy kolejowe wciąż rosnące i sieci swe w głąb kraju zapuszczające. Pierwszy z nich zwany *Canadian Pacific.* W krótkim czasie położył 8 000 mil szyn kolejowych i jest rozgałęziony w Saskatchewan, Albercie i w Manitobie. Drugi system sieci kolejowych to *Canadian Northern.* Zdobył on sobie rekord w kładzeniu szyn kolejowych.

W 14 ostatnich latach kładł dziennie jedną milę. Prócz tegy są jeszcze 2 inne systemy, z których jeden *Grand Trunk Pacifiic* ma już czarter wyrobiony na założenie 23 nowych linii, a drugi *Great Northern* ma całe gałęzie linii idących do prowincyi Manitoby, Alberty i British Columbii.

Wszystkie te koleje oglądają się tylko za handlem. Skoro tylko dowiedzą się, że grupa farmerów mogłaby rocznie wysyłać zboże w daleki świat, wówczas pewną być może ta osada, że wkrótce doczeka się kolei i spichlerzy na zboże zwanych tutaj elewatorami. Stąd to kolej odgrywa w Ka-

nadzie wielką rolę. Rząd, widząc wielką potęgę kolei w swojem państwie, powołał do życia osobną komisyę, uzbrojoną we wszelką władzę do załatwiania sporów i nadużyć, któreby wynikły pomiędzy kompanią a ludnością tamtejszą.

Wysiadłem, jak wspomniałem, na dworcu w Melville. Przybliża się do mnie kapłan młodziutki i podając mi rękę pyta mnie: „Howoryty wy po rusku". „Nie, odpowiadam, ale się zrozumiemy przynajmniej tutaj na tej ziemi, bo ja lach, a wy rusek". Uśmiechnął się serdecznie. „Ja swiaszczennik ruski., ciągnie dalej, i pojedu do Yorkton". Yorkton to dom główny OO. Redemptorystów. Był to jeden z tych ojców, który wracał ze służby Bożej od rusinów do domu. Jest ich obecnie 5. Są to Belgijczycy, wszyscy zmienili swój obrządek i przyjęli ruski. Ciężkie były początki, które przechodzić musieli z Rusinami, którym oni są oddani całą duszą. Lud sam im nie dowierzał, a podburzany przez księży samozwańców, wołał nieraz w czasie służby Bożej: „My chcemy księży żonatych ze starego kraju, a nie Francuzów". Nie zrażali się jednak tem szczekaniem zacni ci ojcowie, ale dalej spieszyli z pomocą duchowną chętnym i pragnącym pozostać unitami. Lud z czasem przekonał się o ich życzliwości i dzisiaj mają 25 cerkwi rozprószonych po całym swoim dystrykcie i cieszą się powszechną popularnością wśród Rusinów. Powodem tego jest spokój, jaki panuje w ich parafiach i wszystkie „braty starsze" pozapisywały cerkwie na ich biskupa.

Przy tym domu jest także druga grupa ojców, spiesząca z posługą duchowną naszym Polakom. Pomiędzy nimi jest jeden Polak, O. Knapik, reszta są to Belgijczycy, którzy sobie język polski przyswoili. Do Yorkton zajechaliśmy z Mellvillé za 20 minut. Zobaczywszy się z ojcem Deleare, przełożonym, wręczyłem mu list od biskupa. Wyznaczyliśmy chronologiczny porządek misyi, które miałem odprawić w Othon, Mikado, Kowalówce, Dobrejwodzie, Goodive i Hubbart. Jeszcze tego samego dnia wyjechałem z O. Knapikiem do pierwszej stacyi misyjnej Othon.

Othon.

Othon jest to stacya kolejowa. Kilka domów z kilkoma spichlerzami na zboże, to cała mieścina. Na stacyi czekały na nas już sanki, któremi mieliśmy dostać się dopiero do właściwej osady polskiej. Siadamy w tę skrzynię i ruszamy dalej w drogę. Do nas przysiadło się 2 farmerów, bo jechaliśmy do parafii, gdzie wybuchnął bunt przeciwko O. Knapikowi za to, że potępił złe gazety i napiętnował z ambony „Kuryerowiczów"[1]). Odgrażali mu się niektórzy z nich nawet czemś poważnem. Kościół polski znajduje się o blizko dwie mile od stacyi. Parafia rozciąga się w promieniu 10 mil. Do plebanii nie jechaliśmy, bo noc nie byłaby wcale przyjemna z powodu zaszłych buntów. Pojechaliśmy na noc do jednego z farmerów, mieszkającego jeszcze 2 mile poza kościołem.

Noc była śliczna. Księżyc bladem swem światłem oświecał nam drogę. Mróz dokuczał bardzo i zmuszał nas do mimowolnego milczenia. Głos dzwonka i wycie z daleka wilków stepowych rozpraszały monotonną ciszę tych nieobjętych preryi. Zziębnięci i przemrożeni zajeżdżamy do chaty, skąd dolatywał nas głos dziatek: „Księża jadą". Był to jeden z farmerów bogatszych. Posiadał 320 akrów ziemi, 30 koni, pomiędzy nimi rasowego ogiera wartości 1500 dolarów, 10 chartów na polowanie i 30 krów. Zastawił kolacyę z samej dziczyzny.

Na drugi dzień o świcie wybraliśmy się do kościoła. Ludzie dowiedzieli się już o misyi, bo jadąc do Yorkton spotkałem się z wielu farmerami tejże osady, którzy po sąsiedzku jeden drugiemu donieśli. Kościół był pełny. Zapowiedziałem im misyę, która trwać miała 5 dni. Mimo strasznych mrozów, brali nadzwyczaj liczny udział w misyi, wyspowiadałem prawie wszystkie 65 familii. Niechętni O. Knapikowi także przyszli i kłopotów żadnych nie robili, jakkolwiek domagali się dosyć natarczywie, aby ks. Knapik

---

[1]) Czytający „Kuryera Milwauckiego", potępionego na zjeździe polskich księży w Detroit.

odwołał to, co na ambonie powiedział. Przeprosili go wszyscy i ucałowawszy mu ręce pojednali się z Bogiem.

Polonia tutejsza pochodzi ze wszystkich trzech zaborów. Misyę skończyłem w Othon już we środę, gdyż wszystko było zrobione. Na obiad wróciłem do farmera. Był to dzień piękny chociaż bardzo mroźny. Po obiedzie zaproponowali mi farmerzy wycieczkę 8-milową do rezerwacyi indyjskich. Zdecydowałem się na to, boć byłoby to grzechem podróżującego nie widzieć tej siedziby Indyan. O godzinie 2 po południu przygotowali farmerzy sanie, nakładli siana, włożyli nizkie krzesło dla mnie, farmerka przyniosła 3 pierzyny, 4 gliniane naczynia z wodą gorącą pod nogi; chłopak przyprowadził konie, farmer zagwizdnął i oto zjawiło się 8 chartów, które ogonkami kręcąc, cieszyły się, że pojadą. Do sań włożono 2 winczesterki i naboje. Wsiadłem do tej skrzyni, farmer położył mi jedną pierzynę na plecy, drugą na kolana, do mnie przysiadło się 2 innych farmerów, ostatni wziął biczysko, wystrzelił, zagwizdnął i cała wyprawa ruszyła do Indyan. Charty biegły równolegle z końmi. Są to psy bardzo brzydkie, maści żółtej, chude, ale bardzo zwinne. Farmerzy zazwyczaj na dalszą drogę biorą je ze sobą. Wilki bowiem chociaż są bardzo płochliwe, gdy im jednak głód dokuczy, to rzucają się wówczas na konie. Przed chartami mają jednak wielki respekt. Ujechaliśmy może 3 mile, a oto przybliża się ku nam Indyanin. Był z tych rezerwacyi, dokąd i my jechaliśmy. Umiał cośkolwiek po angielsku. Pytaliśmy go, dokąd idzie. On pokazując nam na ślady w śniegu powiada, że już 5 mil idzie za pięknym okazem wilka, którego myśli dostać. Ujechawszy jakie 6 mil wjeżdżamy w tak zwane rezerwacye indyjskie. Dwie zwłaszcza familie żyją dobrze z Polakami, do nich też zwróciliśmy naszą drogę.

Jedna familia nazywa się Genist, druga Pipic. Genist posiada 3 żony. Rząd atoli zabrania wielożeństwa. Sprytny Indyanin umiał jednak prawo ominąć. Jedną zatrzymał przy sobie, a dla dwóch innych wybudował tuż obok siebie inny dom. U drugiej familii widzieliśmy jedną tylko żonę i czworo

dzieci. Ta ostatnia familia miała podobno śliczną córkę. Razu pewnego przyszedł w odwiedziny Indyanin z innej rezerwacyi i upoiwszy wszystkich, wykradł ją w nocy. Wiedzą dobrze, gdzie się córka znajduje, ale boją się odbić ją, bo ów Indyanin to mocarz słynny na całą rezerwacyę.

Genist bardzo mile nas przyjął. Mówi po angielsku, był bowiem dwa lata we więzieniu, gdzie się nauczył po angielsku. Odwiedziliśmy najpierw ich gaj święty. W tej rezerwacyi wszyscy są jeszcze poganami. Czczą oni podwójnego ducha: ducha wielkiego, którego zowią „Kichi Manitou“; ale największą czcią otaczają ducha złego, „Machi Manitou“, bo ten może im sprowadzić wiele nieszczęść na ich domostwa. Dlatego chcąc sobie go zjednać, potrzeba go mocniej prosić aniżeli ducha wielkiego, „Kichi Maniton“. Zanim wstąpiliśmy do gaju, minęliśmy kilkanaście budek z wikliny, na jakie cztery stopy wysokich. W środku każdej budy znajdował się kamień. Są to ich domy modlitwy. Zanim się do modlitwy zabiorą, rozgrzewają ów kamień i przykrywają go szmatami. Następnie przewodniczący modlitwy kładzie się na ten kamień, drudzy głowy kładą na jego plecy, całą budę płachtą nakrywają i tak przez jaką godzinę pomrukują. Nie potrzeba im zatem szukać nowoczesnej łaźni tureckiej. Ten rodzaj modlitwy naturalnie uprawiają tylko latem.

Przybliżamy się do gaju. Tam na drzewach powiewały zeszłoroczne aksamity, ozdoby, świecidełka różnorodne i jedna strzelba. Rok rocznie składają Bogu ofiary na podziękowanie za dobrodziejstwa, które otrzymali. W dniu tym świątecznym każdy niesie swoją ofiarę. Zanim ten podarek zawieszą, podnosi go każdy w górę i tak trzyma około 5 minut. Potem dopiero zawieszają te ofiary w onym gaju świętym; a co jest ciekawe, to że wśród płaczu wracają do domu. Nie dbają jednak o to, czy im te ofiary kto weźnie czy nie. Pytali się razu pewnego farmerzy polscy, czyby oni zezwolili na rabunek tych rzeczy: „Nie dbamy o to, odpowiedzieli; jeżeli Bóg wam pozwoli, to bierzcie, to już nie nasze“.

Rok rocznie gromadzą się do pewnej rezerwacyi, gdzie odprawiają wspólną modlitwę za ojczyznę. W tym dniu niebezpieczne jest dla białych do nich się przybliżyć. Wychodzą wówczas wszyscy; starzy, młodzi, dzieci, stają rzędem, podnoszą ręce w górę i płacząc Boga proszą, aby wrócił im ojczyznę. Tak stoją nieruchomi przez godzinę. W końcu ściągają straszną pomstę i przekleństwa na gubernatora tejże prowincyi. Żyją przeważnie z polowania, o czem jeszcze później nadmienię. Gdy im głód dokucza i bieda przyciska, wówczas wszyscy wychodzą z domu, stają rzędem i przez godzinę mając ręce wyciągnięte ku niebu proszą Boga, aby się ulitował nad ich obecną nędzą. Po tej modlitwie wracają do domu, każdy mężczyzna bierze strzelbę i idzie na polowanie. Powiadał ów Genist farmerom, że jeszcze ich nigdy modlitwa tego rodzaju nie zawiodła.

Indyanie to naród bardzo dziecinny, czuły, przywiązany do swoich obyczajów. Razu pewnego przyszedł ów Genist do farmera, który go zaprowadził do polskiego kościoła. Obydwaj odprawili stacye, tylko Indyanin swoim sposobem. W krótkim dosyć czasie przeleciał wszystkie, aż stanął przy stacyi, gdzie Chrystusa do krzyża przybijają. „Tutaj, powiada farmer, chwycił nerwowo za swoją strzelbę i tak stał prawie że nieruchomy przez jakie 10 minut. Ja skończyłem drogę krzyżową i siedząc w ławce myślę, kiedy to będzie koniec z jego oglądaniem tej stacyi. Nagle zawył płaczem tak dzikim i przeraźliwym, że ja się sam zląkłem. Ale przychodzi do mnie i głosem drżącym robi mi wyrzuty, dlaczego wyznawcy Jego pozwolili Go do krzyża przybić“.

Rozmiłowani są w polowaniu. Zachodnia Kanada obfituje w różne gatunki zwierzyny. Najpospolitsze są rogacze, łosie, jelenie, lisy czarne, dzikie kozy, bobry, kuropatwy, żórawie, a dalej ku północy niedźwiedzie.

Strzelają nabojami i z łuku. Strzały mają zatrute. Przypominam sobie tutaj to, co niegdyś czytałem w Rocznikach z opisu Ks. Dylli z Brazylii, że niezbadaną jeszcze jest rzeczą, czem Botokudzi zatruwają swoje strzały. Indyanie tak postę-

pują. Zabijają cielaka i wkładają strzały w płuca, trzymając je tam przez 24 godzin. Potem je wyciągają i suszą. Każdy taką strzałą ugodzony dozna zatrucia krwi. Widząc Indyanina kulawego pytam się, co mu się stało. Nie dbam o tę nogę, bo upolowałem cztery. Rzecz się tak miała. Wytropił razu pewnego olbrzymiego niedźwiedzia. Nie miał innej broni ze sobą prócz wielkiej dzidy. Niedźwiedz umknął mu na skałę. Indyanin poszedł za nim. Na sześć stóp przed skałą wykopał sobie mały rowek, na którym mógłby sobie w danym razie oprzeć nogę. Następnie począł drażnić dzidą niedźwiedzia na skale. Rozjuszone zwierzę wyszło z ukrycia, a widząc nieprzyjaciela przed sobą, stanęło na tylnych łapach, tego oczekiwał Indyanin. Podbiegł pod ten rowek, oparł nogę, chwycił mocno za dzidę i przeszył nią napastnika. Nie mógł jednak znieść ciężaru jego i złamał sobie nogę.

Nieraz idzie Indyanin za zwierzyną dwa i trzy dni. Trzy tygodnie przed moim przyjazdem założył się Indyanin z pewnym Anglikiem o 200 dalarów, że mu lisa żywcem upoluje. Szedł za nim przez cały tydzień. Sam Indyanin jadł tylko suszone jagody, saskatoon zwane, a lisowi nie pozwolił spocząć, aż go żywcem przyniósł owemu Anglikowi. W sprytny sposób łowią także ryby. Wziął nas na wielki staw. Słońce już zaszło więc nie ręczył za połów. Ja go pocieszam, mówiąc mu, że mam słońce w kieszeni. Miałem silną lampę elektryczną. „All right“, powiada, może się uda. Rozrąbał lód na głębokim stawie, rozłożył namiot nad częścią wyrąbaną, farmerowi kazał trzymać lampę elektryczną nad namiotem, mnie wziął do namiotu sam chwycił długą żerdź zaopatrzoną w ostrą strzałę z kości i tak przez pewien czas czeka. Gdy ryba się nawinęła, przeszył ją na wylot. Po tym połowie wróciliśmy do ich chaty z powrotem. Żony jego, które namiętnie lubią palić, poczęstowane cygarami przez gości, dotknąwszy się ich zawyły głosem przeraźliwym. Jest to ich sposób podziękowania. Domki zimowe mają z gliny. Łóżek nie mają, śpią na skórach. Cały dom jest na opiece niewiast. Jeżeli kto umrze, to trupa chowają w tym domu, a dom ten opusz-

czają. Są też nieraz znakomitymi farmaceutami. Wieleśmy mieli, opowiadał Indyanin, sekretów lekarskich, ale nam je biali potrafili wydrzeć. Wspomniałem, że zima tutaj bardzo ostra, mimo to Indyanie idąc na polowanie noszą się bardzo lekko. Zanim jednak dom opuszczą, biorą zielonkowate gałązeczki, których w borach w odpowiednim czasie nazbierali, kruszą je na mąkę i wrzucają do gotowanej wody. Jest to rodzaj herbaty. Powiadają, że to lepiej ciepło zachowuje aniżeli wszelkie inne wódki. Farmer polski napił się razu pewnego i skutek był ten, że jeszcze w trzecim dniu występowały na nim poty.

Była to już godzina 9 wieczorem, więc farmer poszedł zaprządz konie. Pożegnaliśmy się z nimi, a Genist odprowadził nas aż do granicy ich rezerwacyi. Do domu wróciliśmy jeszcze przed dwunastą. W domu przy kominku oczekiwały na dzieci i żony farmerów. Siedzieliśmy przy ognisku i wówczas farmerzy poczynali opowiadać swoje dzieje. Polonia jest tu dosyć bogata. Zamożniejszych liczą tutaj od 10.000 do 45.000 dolarów. Pierwsi Polacy przybyli tutaj przed 8 laty. Każdy z nich dostał 160 akrów ziemi za 10 dolarów, złożył przysięgę i stał się temsamem obywatelem angielskim. Cała ta posiadłość, którą mu kolonizacye wymierzyła, nazywa się „homestead“. Właściciel tej property jest obowiązany wystawić dom, mieszkać w nim przynajmniej latem i uprawiać najmniej 5 do 6 akrów ziemi. Z pod tej reguły wyjęte jest duchowieństwo. Jeżeli zakon, zgromadzenie jakie, albo ksiądz dostanie taki homestead, to nie jest obowiązany do powyższych warunków.

Dawniej przed OO. Redemptorystami pracowali tu OO. Oblaci. Szczególniejszego poszanowania i uznania dla jego iście heroicznego poświęcenia doznaje tutaj O. Petz. Ośm lat temu, opowiada jeden farmer, nie było jeszcze kolei. Konno trzeba było jeździć od jednego miasta do drugiego. Ja przyjechałem w te okolice pierwszy. Miałem w kieszeni 400 dolarów. Poszedłem na „landofice“, gdzie mi wymierzono te 160 akrów ziemi i tak mnie zostawiono własnemu dow-

cipowi. Jak tu począć uprawę tej ziemi, co tu jeść. Pieniądze miałem, ale nie miały one w danej chwili żadnej wartości, bo po najmniejszą rzecz trzeba było jechać milami, a ja drogi po tych dalekich preryach nie znałem. Jedliśmy jagody, które tutaj w obfitości rosną. Obok nas żywej duszy. Od czasu do czasu zapędził się tutaj za zwierzyną Indyanin. Przyszedł usiadł z nami, ale nie mogliśmy naturalnie siebie zrozumieć. Widząc nas jednak smutnych, a żonę moją zapłakaną, płakał razem z nami. Odtąd coraz częściej do nas zaglądał, a co upolował w pobliżu, to nam także przyniósł. Nam wszystkim było tutaj coraz to smutniej. Żona płacze, gdy rano wstaje, dzieci wołają: Tato, jedźmy stąd, a wracajmy do naszej chatki, gdzie babcia nasza mieszka. Chodziłem jak obłąkany. W tem utrapieniu zwołałem wieczór całą rodzinę, przypomniałem im cudowną moc Matki Boskiej Częstochowskiej, wyszliśmy na pole i zanuciliśmy pieśń naszą polską: „Kto się w opiekę podda“... Na drugi dzień poszliśmy szukać jagód. Około godziny 10 widzę, że ktoś nadjeżdża na koniu ku nam. Jakież było nasze zdumienie, gdy doleciał nas głos „Niech będzie pochwalony“... po polsku. Osłupiałem, ale oto dziecko woła. „Mamo, to ksiądz“. Rzeczywiście był to ks. Petz, który wyszukiwał katolików po tych preryach. Został z nami aż do następnego dnia, wyspowiadał nas, odprawił mszę św. pod gołem niebem. Przystąpiliśmy do Stołu Pańskiego, udzielił nam licznych wskazówek i odtąd nas już odwiedzał co trzy tygodnie. Stąd widzimy, jak ciężki był los naszych emigrantów do Kanady, ośm lat temu.

Poświęcenie O. Petza i umartwienie były nieraz nadzwyczajne. Razu pewnego, powiada inny farmer, idę dać jeść koniom. Był to poranek bardzo mroźny. Widzę w chlewie psy i sanki ks. Petza. Dla Boga, powiadam sobie, a gdzież O. Petz. Patrzę w żłób, a tam z pod siana wyglądała jego twarz. Budzę go i pytam, dlaczego nie przyszedł na noc do domu. Ach, powiada, nie chciałem was budzić, bo przyjechałem późną nocą; zresztą i tutaj smaczną noc przepędziłem.

Nazajutrz pożegnawszy się z farmerami, wyjechałem do drugiej stacyi misyjnej, Mikado. W tym dniu pojawiła się zorza północna któreto zjawisko farmerzy fotografią zowią. I bardzo słusznie. Wówczas wszystkie farmy się widzą. Miasta milami odległe widać jak na dłoni. Kościół polski, który od tej farmy odległy był o dwie mile, zdawał się znajdować tuż za płotem farmera. Wśród tego złudzenia jechaliśmy na stacyę Othon, by via Canora dostać się do Mikado.

Mikado.

Na dworcu Canora oczekiwał nas jeden z Ojców Redemptorystów, ks. Knapik. Z Canora mieliśmy się dostać osobnym pociągiem do Mikado. Tutaj w Kanadzie nie należy do nadzwyczajności, jeżeli się pociąg spóźni o 3, 4, 5, nawet o 24 godzin. Taki los spotkał i nas. Mieliśmy oglądnąć nasz pociąg za 10 godzin. Chcieliśmy zamieszkać w hotelu, ale był przepełniony. Do Mikado mieliśmy jeszcze osiem mil. O. Knapik najął sanki i tak w nocy o jedenastej godzinie stanęliśmy u celu naszego, w farmerskiej chacie. Osada polska, to Polacy z Galicyi z Trembowli. z Jezierzan, z Bilcza. Zdaniem mojem, są to Rusini modlący się po polsku w kościele. Pomiędzy sobą mówili tylko po rusku. Kolonia nie wielka, bo zaledwie 49 familii licząca, ale duch niezależności znalazł i tutaj grunt na tych bądź co bądź jeszcze odludnych preryach. Ks. Klawiter, założyciel kościoła niezależnego w Buffalo, zawitawszy w te strony potrafił lud tak obałamucić, że chłopi go przyjęli jako swojego rodaka i większa część stanęła przy nim. Tylko sześć familii pozostało wiernemi Kościołowi. Niezależni myśleli, że te 6 familii będą się musiały z konieczności do nich przyłączyć. Bóg jednak inaczej zrządził. Jednemu farmerowi umarł syn samotny, po którym zostało 900 dolarów. W testamencie, który zostawił przeznaczył 600 dolarów na kościół i tak stanęła maleńka świątynia z drzewa kosztem 600 dol. W tym kościółku miałem trzydniowe misye. Niezależni, zwłaszcza meżczyzni, uparcie stoją przy swym niezależnym eks-braciszku OO. Redemptorystów.

Wielu niezależnych, to dawniejsi nasi parafianie z Jezierzan. Najzaciętszy pomiędzy nimi to Ostafijów, który jeszcze dzisiaj pamięta ciężką rękę ks. Tyczkowskiego, błogosławiącą mu na drogę do Kanady. Około 9 familii powróciło na łono Kościoła w czasie misyi.

Tak jak tych Polaków, jeżeli ich wogóle Polakami nazwać można, taksamo i rusinów niezależnictwo kiereszuje. Rusini także na misye przybyli i wszystkich razem z Polakami wyspowiadałem około 30 rodzin. Pod wieczór w dzień trzeci misyi zajeżdżają przed chatę ludzie, pytając się o ojca duchownego. Byli to katolicy, Rusini, którzy szukali księdza, aby udzielił ślubu tej oto parze, którą ze sobą przywieźli. Jechali 3 dni z dalekiej osady, gdzie już księdza nie widzieli 7 lat. Nazajutrz nowożeńcy przyjęli po raz pierwszy trzy naraz sakramenta. Na drugi dzień pojechaliśmy na kolonie celem poprawienia chrztów udzielonych przez księży niezależnych. W drodze minęliśmy dwie: Radziwanówkę i Terpienie. Są to kolonie „Duchoborców", którzy tutaj przyszli z głębi Rosyi. Ciekawa to bardzo sekta. Żyją wspólnie. Na czele tych osad stoi t. zw, „starszoj". Jest nim obecnie Piotr Vergin. Jemu przysługują liczne przywileje, jest absolutnym panem tych kolonii. Główną sprężyną ich życia duchownego, to szukanie mesyasza.

Wybierają się kilka razy do roku wszyscy razem, młodzi i dzieci, aby znaleźć mesyasza. Rząd angielski początkowo nie wiele zwracał na nich uwagi. Żyjąc przeto po farmach mogli całej surowości zakonu swego przestrzegać. Chodzili nawet zupełnie nago. Koń był u nich w takiem poszanowaniu, że ziemię orali kobietami. Nie do uwierzenia, ale to fakt. To zwróciło uwagę rządu angielskiego, że zabronił im tego pod surową karą. A „starszoj" jest u duchoborców osobą świętą. Podwładni są mu ślepo posłuszni. Życie u nich jest wspólne. Wszystkie dochody oddają w ręce Vergina. Na wiosnę zwołuje on wszystkich zdolnych do pracy i według siły i zdolności wyznacza, ile każdy ma za sezon letni zarobku przynieść. Rozkazy odbierają, jak gdyby im sam P. Bóg to po-

dyktował. Niektórzy mu jednak z tej kolonii pouciekali, tych oni uważają za odszczepieńców swego wyznania. „Starszoj" zląkł się tej dezercyi i przeprowadza teraz wszystkich do British Columbii. Ciekawy to transport tej żywizny w tamtę prowincyę. Roku zeszłego najął „starszoj" dwa wielkie wagony frachtowe. Wydał następnie rozkaz przez małego chłopczyka, który jest zarazem jego sekretarzem, do wszystkich rodzin, aby się zgromadziły i były w pogotowiu. Następnie zakomenderował na stacyę, gdzie ich wtłoczono do tych wagonów i jak bydło odwieziono do British Columbii. Rząd na to patrzy przez szpary, bo radby ich się pozbył, farmować bowiem nie lubią. Z 160 akrów, które im poprzedmio wymierzył, zabrał im większą część, zostawiając tylko pięć. „Starszoj" jest bardzo bogaty. Liczą go obecnie na dwa miliony dolarów. Kapitał swój umie nieraz powiększać najmniejszemi drobnostkami. W tymże samym roku wydał rozkaz, aby wszystkim niewiastom włosy ostrzyżono i miał z tego podobno piękny dochód. Życie ich jest wspólne. Mają wspólny sklep, który zaopatruje ich wszystkie potrzeby. Na zbytek jednak „starszoj" nie pozwala. Lud sam jest bardzo sumienny i pracowity. Chętnie też spieszy z pomocą biednym.

Tego samego dnia ochrzciliśmy dzieci po koloniach i wróciliśmy do farmy już nocą. Na czwarty dzień wybrałem się do trzeciej stacyi misyjnej, zwanej Kowalówka.

Kowalówka.

Jest to osada składająca się z Polaków z Galicyi. Jest ich tutaj około 50 rodzin. Dzisiaj są to farmerzy dosyć zamożni. Kościół mają z drzewa i plebanię. Do tej to plebanii mnie zawieźli. Niemiły wypadek spotkał mnie w nocy. Zjadłszy kolacyę wyrzuciłem resztki oknem. Noc była księżycowa. Po dwuch godzinach słyszę jakieś ujadanie psów. Odchylam okienice, a tu małe stado wilków walkę staczało o te resztki kości, które wyrzuciłem. Nazajutrz o godzinie 9 farmerzy polscy poczęli już ściągać do kościoła. Polacy tutaj żyją w zgodzie i są przywiązani do swego kościółka. Około go-

dziny 9 kościółek już był nabity. Misya tutejsza przypadała na niedzielę, w której już kolor fioletowy był w użyciu. Ludzie jednak nie odśpiewali jeszcze tegorocznych kolend, więc jak zaczęli wycinać jedną po drugiej, tak im rady nie było. To też to na mnie tak podziałało, że i ja zaśpiewałem im od ołtarza „Gloria in excelsis Deo". Wówczas nie było im już rady. Czekam przy ołtarzu końca drugiej zwrotki, ale ledwo jedna strona skończyła jedną zwrotkę, gdy oto druga strona wpada w trzecią zwrotkę, tak, że ja zmęczony poszedłem ad sedes. Siedzieć musiałem blizko kwadrans, zanim oni tę milową pieśń skończyli. Widząc, że to naród bardzo śpiewny, urządziłem im misyę śpiewną. Wchodzę na ambonę i powiadam im, że tutaj porządek misyi będzie bardzo prosty i łatwy do zapamiętania. Msza św., śpiew, kazanie, potem znowu śpiew i t. d. aż do końca. W tych interwałach śpiewnych słuchałem spowiedzi. Tak to trwało przez 3 dni od godziny 10 z rana do 6 po południu. Chciałem ich nieraz prędzej puścić do domu, ale wtenczas starzy powiadali: „Jegomość, jeżeli my wydzierżywa, to wy chyba także, boście jeszcze młodzi". Cóż więc z nimi było robić. Trzeba było dalej kazać i śpiewać. Wyspowiadałem prawie wszystkie rodziny. Czwartego dnia ruszyliśmy sankami do czwartej stacyi misyjnej, zwanej Dobrawoda.

Dobrawoda.

Tutaj lud oczekiwał misyi, ale odwołał nas ks. Rektor telegraficznie, z powodu nawału pracy misyjnej w Stanach. Odprawiłem tylko Mszę św. i wyspowiadałem bardzo małą cząstkę, bo spieszno mi było do pociągu do Reginy. Powrót opisze już ks. Janowski.

Seminaryum Poznańskie za rządów Ks. Krzywańskiego[1]).

(1781—1802).

O założeniu seminaryum w Poznaniu myślał już biskup Adam Konarski. W r. 1571 sprowadził do Poznania OO. Jezuitów, z zamiarem oddania przyszłego seminaryum pod ich kierownictwo. Jednakże erekcya przyszła do skutku dopiero za jego następcy, ks. biskupa Łukasza Kościeleckiego. W uroczystość św. Agnieszki 1581 r. zamieszkało pierwszych dwunastu alumnów z ks. rektorem i scholastykiem z zakonu OO. Jezuitów w domu niedaleko kolegium jezuickiego położonym. W r. 1614 odjęto OO. Jezuitom kierownictwo seminaryum. Odtąd aż do r. 1781 zostaje pod zarządem profesorów z szkoły Lubrańskiego, różne przechodząc koleje. Były czasy, kiedy trzeba było je zamknąć dla braku funduszów. Nie troszczono się szczerze o nie, bo kapłanów dostarczały kolegia OO. Jezuitów. Z chwilą zniesienia zakonu zreformowanie seminaryum stało się rzeczą naglącą. Dokonał go gorliwy i około Kościoła bardzo zasłużony biskup Antoni Okęcki, kanclerz Wielki koronny, zamieniwszy w r. 1780 dyecezyę chełmińską na poznańską. Niedługo po objęciu rządów w swej nowej dyecezyi zwrócił się do ks. wizytatora Siemieńskiego z prośbą, by Zgromadzenie objęło kierownictwo seminaryum. Na razie, wskutek ujemnej opinii ks. Narzymskiego, superyora łowi-

[1]) Według notatek ks Rzymskiego, znajdujących się w archiwum Domu Stradomskiego. Ks. Rzymski, późniejszy wizytator, bawił w Poznaniu lat sześć, na stanowisku profesora najpierw filozofii, później teologii dogmatycznej i historyi kościelnej. Opuścił Poznań w sierpniu 1816, by objąć katedrę Pisma św. na tworzącym się uniwersytecie warszawskim.

ckiego, wysłanego do Poznania dla zbadania stanu seminaryum, układy się rozbiły. Niebawem ponowił ks. biskup przez swego zastępcę ks. Reptowskiego starania i ostatecznie między nim a ks. Pohlem, asystentem generalnym, zastępującym ks. wizytatora, bawiącego podówczas na wizytacyi domów, przychodzi do skutku umowa przez ks. wizytatora później potwierdzona, według której miała powstać nowa fundacya na następujących warunkach.

W seminaryum będzie trzech Misyonarzy. Jeden z nich obejmie urząd prefekta. Płaca każdego ma wynosić rocznie 1000 zł. Liczba klerów zależeć będzie od dochodów, z których na jednego liczyć się ma po 400 zł. Reparacyami zajmują się Misyonarze, na co pobierać mają rocznie 400 zł. Prócz tego otrzymują na bezzwłoczną restauracyę seminaryum jednorazowo 4000 zł. Na czeladź przeznaczono 1200 zł. Jedna i druga strona spisze inwentarz, a przy objęciu dóbr odbędzie się komplanacya, którą potwierdzi kapituła. Jeden z kleryków zajmie się szkołą parafialną. Dalej określa umowa stanowisko prowizorów i plan nauki. Dochód seminaryum obliczono na 12056 zł., z której to sumy 6100 zł. przeznaczono na wydatki, resztę na kleryków. Umowę tę podpisał ks. biskup Okęcki 25 października 1781 r.

W dniu 2 listopada 1781 r. stanęli w Poznaniu trzej pierwsi Misyonarze: ks. Maciej Krzywański jako prefekt, Księża Tymoteusz Raczyński i Wojciech Piątkiewicz jako profesorowie i odrazu wprowadzeni zostali przez prowizora ks. Bronikowskiego, kanonika katedralnego, do seminaryum. Piątego listopada przedstawili się kapitule, w dniu zaś następnym oddał im ks. Kokosowski, oficyał generalny, w obecności dotychczasowego prefekta ks. Chudzickiego, w imieniu ks. biskupa, rządy w seminaryum.

Stan seminaryum w chwili przejścia pod zarząd Zgromadzenia był tak pod względem moralnym jak i materyalnym opłakany. Alumni żyli bez porządku i planu, zaniedbywali ćwiczenia duchowne, rzadko bardzo uczęszczali do Sakramentów św. Nauka nie lepiej stała, bo profesor był jeden

tylko i to w osobie prefekta, który w dodatku od czasu do czasu wyjeżdżał na całe tygodnie za interesami, a klerycy puszczeni samopas, wałęsali się i o zabawie tylko myśleli.

Seminaryum samo było zrujnowane, wszędzie pustki tak, że nie było nawet na czem spać, i kiedy ks. Raczyński ciężko zaniemógł, na słomie leżeć musiał. Najpotrzebniejsze sprzęty stołowe trzeba było dopiero sprowadzać.

Praca była więc początkowo bardzo żmudna, wymagała wiele poświęcenia i zaparcia, tem bardziej, że nie cała kapituła była Misyonarzom przychylna. Także ostatni prefekt ustępując poniewolnie, był niechętny Misyonarzom. Mieszkając jeszcze 10 miesięcy w seminaryum, podpatrywał nowowprowadzone porządki i zwyczaje, krytykował je, wpływając ujemnie na kleryków, z którymi urządzał nocne pogadanki. I wśród nich trafiono na opór i niechęć. Jeden zwłaszcza taką powziął nienawiść ku Misyonarzom, że i po opuszczeniu seminaryum ciągle psuł ich dobre imię i sławę. Jednak w obliczu śmierci odwołał wszystko, cokolwiek był złego powiedział, wyznając, że nie miał żadnego powodu do takiego postępowania, że kierowała nim tylko nienawiść i uprzedzenie.

Ks. Krzywański zabrał się z energią do pracy, znajdując pomoc i zachętę tak u ks. biskupa, jak u niektórych duchownych, zwłaszcza w seminaryach misyonarskich wychowanych. Szczerością i oddaniem odznaczał się zwłaszcza archidyakon śremski ks. Chłapowski. Liczbę kleryków funduszowych, których przy objęciu seminaryum było tylko 5, podniesiono odrazu do 10. Powoli starano się ich wdrażać w karność, zamiłowanie porządku i pracy. Szło to zrazu oporem i z trudem wielkim. Najwięcej kłopotu sprawiali klerycy utrzymujący się własnym kosztem, którzy, dla braku miejsca w seminaryum, w mieście na stancyach mieszkali. Tam działy się największe nadużycia. Kontrolowanie kleryków na stancyach wziął na siebie ks. Piątkiewicz, a do jego częstych, czasem niespodzianych wizyt, mnóstwo przylgnęło anegdot. Razu pewnego wszedł niepostrzeżenie między kleryków wesoło tańcem zabawionych. Widocznie z czasem stali się ostrożniejsi,

gdyż często znajdował ks. Piątkiewicz drzwi zamknięte. Powoli pękały lody, stosunek między prefektem i profesorami z jednej, a klerykami z drugiej strony, stawał się coraz przyjaźniejszy. Ks. Krzywański doskonale rozumiał dusze sobie powierzone. Na jego ojcowskie, pełne wyrozumiałości, lecz i stanowczości upomnienia serca, w gruncie szlachetne, nie mogły pozostać obojętne. To też wnet między prefektem a alumnami nawiązały się nici serdecznej przyjaźni, wzajemnego zaufania i zrozumienia. W jego konferencyach, w których rzadko kiedy pozwolił się zastąpić, łatwo mogli wyczuć gorącą chęć służenia ich szczęściu, troskę o ich dobro. Przestrogi i rady w nich posłyszane przez całe życie tkwiły im w pamięci, a w rozmowach często i chętnie do nich wracali. Jak dobrze pojmował ks. Krzywański zadanie swoje, świadczy odpowiedź jego na przemowę ks. biskupa Okęckiego podczas wizytacyi seminaryum, 7 sierpnia 1784 r., na której odczytano także nową ordynacyę. W odpowiedzi tej podniósł pieczołowitość ks. biskupa o seminarya, która mu zjednała uznanie całej dyecezyi, a chlubnie świadczyć będzie i w przyszłości o jego gorliwości pasterskiej. Wyraził wdzięczność, że Zgromadzenie powołał do tak zaszczytnego, lecz i pełnego odpowiedzialności zadania, składając w ręce jego najdroższy swój depozyt, przyszłych współpracowników. Jak głęboko pojmuje ks. biskup powołanie kapłana, świadczy nowa ordynacya, pełna mądrości i ducha Bożego, podająca najzbawienniejsze środki do osiągnięcia ideału kapłańskiego. „Jedno jest, co mnie trwoży i zastanawia — mówił ks. Krzywański — ciężar formowania kapłanów w tym wieku, który nie tylko wyciąga łamania chleba maluczkim, tym, którzy w prostocie serca w ustach swych pasterzy szukając znajomości prawa i zakonu, lecz nadto potrzebuje zdolności wystarczającej na dokładne z sprawy zdanie względem religii naszej tym, którzy się o to czasem zapytają zuchwale, i zgromienie sprzeciwiających się, a zhołdowania ich wyniosłych umysłów na poddaność nauce Jezusa Chrystusa“. Choć jednak zadanie tak trudne i wątpliwość się budzi w sercu, czy mu podołają,

powiada dalej ks. Krzywański, to przecież nie zbraknie im zapału i poświęcenia, ażeby jak najlepiej odpowiedzieć zaufaniu ks. biskupa, jak najdoskonalej spełnić ciężkie swe obowiązki.

Odpowiedź ta poważną szczerością tchnąca, miłe zrodziła wrażenie tak na ks. biskupa jak i na licznie zebranych dostojnikach duchownych i świeckich. O jej szczerości przekonał się ks. biskup w cztery lata później, kiedy w czasie powtórnej wizytacyi zniewolony był wyrazić gorące uznanie za znakomity stan seminaryum.

Nietylko doskonałym mistrzem w prowadzeniu dusz był ks. Krzywański, okazał się nie mniej dzielnym administratorem. Gmach seminaryjny, jak już wspomniano, znajdował się w stanie ruiny. Zbudowany po części za ks. biskupa Lubrańskiego, w pierwszej połowie XVI. w., już w chwili pierwszej erekcyi był tak zniszczony, że OO. Jezuici nie chcieli w nim zamieszkać. W ciągu dwóch następnych wieków nie wiele troszczono się o jego naprawę. Ks. Krzywański rozpoczął 9 września 1782 r. gruntowną restauracyę, która częścią dla wielkiego zniszczenia gmachu — wszystkie np. części z drzewa w budowie trzeba było na nowe wymieniać — częścią dla braku funduszów przeciągnęła się do roku 1789. Koszta wynosiły 49.000 złp.

Dobra seminaryjne dotychczas wydzierżawiane, postanowił ks. Krzywański wziąć w własny zarząd. I tu potrzebna była walka, by celu dopiąć, bo dzierżawcy znajdując poparcie u kapituły, pragnęli je nadal trzymać. Kiedy je wreszcie przy pomocy zawsze przychylnego Misyonarzom ks. kanonika Reptowskiego ks. Krzywański odebrał, wnet okazały się i tutaj skutki jego energii i zapobiegliwości. Dobra uległy w rękach dzierżawców wielkiemu zniszczeniu. Budynki wiejskie i dworskie były w ruinie, inwentarz marny i nieliczny, rola wychudzona. Odebrawszy dobra w stanie tak marnym, zdołał stanowczością, ciągłym dozorem, wkładami, w krótkim czasie podźwignąć je pod każdym względem. Inwentarz znacznie pomnożył, budynki częścią nowe posta-

wił, częścią gruntownie odrestaurował. Założył owczarnię, sad, z którego doczekał się jeszcze owoców, zasiał borki. Wśród poddanych, dla których był ojcem raczej niż panem, zostawił miłą po sobie pamieć. Nauczył wieśniaków uprawy kartofli, których tu nie znano. Daremnie z początku zachęcał do ich uprawy, wskazując na liczne pożytki. Mówili, że dopóki chleba im starczy, do perek się nie wezmą. Kiedy jednak dojrzewać zaczęły na zagonach dworskich, a ciekawością zdjęci ich skosztowali, tak im zasmakowały, że nocami je wykradali i odtąd z największą chęcią zabrali się do ich uprawy.

Na rządy ks. Krzywańskiego przypadają smutne czasy drugiego i trzeciego rozbioru Polski. W styczniu 1793 r. wkroczyli Prusacy do Wielkopolski, która niedługo potem w drugim rozbiorze zostaje wcieloną do ich państwa. Burzliwe te czasy odbijają się także na życiu seminaryjnem. Dnia 9 października 1794 r. otrzymało seminaryum po raz pierwszy inkwaterunek. W następnym roku, 11 stycznia wyszedł rozkaz od rządu, by w ciągu 24 godzin opróżniono seminaryum, które przeznaczono na szpital. Klerycy mieli zamieszkać u Reformatów, księża u Filipinów na Śródce. Stało się to pod nieobecność ks. Krzywańskiego. Napróżno starali się, tak profesorowie jak i kapituła, o uchylenie rozporządzenia. Nawet sztafeta pchnięta do Berlina nic nie pomogła. Łatwo sobie wyobrazić, jakiej doznał przykrości ks. Krzywański, gdy wracając, zastał seminaryum w obcych rękach. Seminaryum jego pracą prawie na nowo powstało, było ukochanem jego dziełem. Odrazu też rozpoczął staranie o jego ewakuacyę i wynagrodzenie szkód wyrządzonych. Dnia 14 kwietnia wniósł memoryał do króla, w którym powołując się na wierne spełnianie obowiązków względem monarchy, na ważność spokojnego kształcenia kandydatów do stanu duchownego, przyszłych przewodników ludu, wskazując dalej na szkodę, jaką ponosi młodzież przez zamknięcie istniejącej przy seminaryum szkółki, prosi o jak najrychlejsze opróżnienie seminaryum, tem bardziej, że chorych już tam niewiele, a umie-

szczone tam dodatkowo areszta policyjne, łatwo na inne miejsce przeniesione być mogą. Nie cały miesiąc później ponawia swoją prośbę. Mimo to ewakuacya nastąpiła dopiero po roku prawie. Staraniem swojem tyle dokazał ks. Krzywański, że władze pilnowały, by nic niepotrzebnie nie niszczono, że pomagały w przeprowadzaniu i wzięły na siebie część kosztów reparacyi.

Rząd pruski postanowił dobra duchowne wziąć w administracyę państwową i w tym celu wydał 28 kwietnia 1796 r. odpowiednią deklaracyę. Już przedtem przeprowadził był klasyfikacyę dóbr duchownych. Ponieważ seminaryum miało nadal zostać przy swoich dobrach, chodziło ks. Krzywańskiemu o to, by klasyfikacya nie była zbyt wygórowana. Wiedzieli o tem chłopi, a jednak przed komisyą, chcąc widocznie dostać się pod zarząd królewski, zeznawali wprost przeciw intencyom ks. Krzywańskiego. Tak jaskrawo przesadzali w swoich zeznaniach, że ich nawet sami komisarze powstrzymywać musieli. Klasyfikacya poszła naturalnie wysoko. Dla ks. Krzywańskiego, którego stosunek do poddanych był jak najlepszy, wypadek ten stanowił bolesną niespodziankę. Zmartwiony głęboko, nie władając przytem niemieckim językiem, zdał sprawę dóbr na ks. Mischkego, któremu po licznych zabiegach udało się uzyskać pewne obniżenie klasyfikacyi. Z dóbr klasyfikacyjnych zostawił rząd tylko Bielawy przy seminaryum, i to za kaucyą 1112 talarów, złożoną przez sąsiada i przyjaciela ks. Krzywańskiego, Małachowskiego z Jeziorek. Dołożono jednak starań, by wszystkie dobra odzyskać. W tym celu i wogóle w sprawach Zgromadzenia udał się w r. 1798 ks. wizytator Jakubowski do Berlina, a podróż tę jak i późniejszą z r. 1804, uwieńczył pomyślny skutek. W r. 1798 nastąpiła na rozkaz królewski retradycya dóbr.

W r. 1802, wkrótce po św. Michale, zapadł ks. Krzywański na zdrowiu. Jadąc z Bielaw, jednej z posiadłości seminaryum, miał się napić w drodze zimnej wody. Choć zaraz po powrocie czuł się niedobrze i kaszleć zaczął, nie zwracał na to uwagi, aż było za późno. Długo łudził się nadzieją

wyzdrowienia. Mimo cierpień sam wszystkiem zarządzał, podziękował nawet za przysłanego mu do pomocy ks. Mischkego. Około zapustów zwątpił jednak o wyzdrowieniu. We wtorek przed środą popielcową pożegnał się z klerykami. „Ja już wkrótce to życie opuszczę, wybaczcie, jeśli wam się w czem naprzykrzyłem". Choroba przeciągnęła się do Wielkiego Tygodnia. Wcześnie poprosił ks. Kubeszowskiego o zaopatrzenie św. Sakramentami. W przeddzień zgonu kazał przynieść wody święconej, gromnicę, odmówił z ks. Kubeszowskim akty. Nazajutrz o godzinie 5 rano oddał P. Bogu ducha, mając lat 58, z których 38 przeżył w Zgromadzeniu. Spoczął w kościele katedralnym, w kaplicy Najśw. Sakramentu.

Pamięć o ks. Krzywańskim, o jego zaletach, zasługach, talentach, długo żyła wśród duchowieństwa i ludzi świeckich. Liczne wrodzone przymioty i dary umiał wytrwałą, sumienną pracą do wysokiej doprowadzić doskonałości. Zdobiły go w wysokim stopniu wszystkie cnoty dobrego kapłana i misyonarza. Otwartością i szczerością charakteru, szlachetnością serca, znajomością świata i umiejętnością obcowania z ludźmi, pobożnością głęboką i niestrudzoną gorliwością jednał sobie serca biskupów, prałatów, osób duchownych i świeckich, słowem wszystkich, którzy się z nim bliżej zetknęli. Względem konfratrów okazywał miłość prawdziwie braterską, tak, że trudno im było go opuszczać, a on także głęboko odczuwał każde rozłączenie się z nimi.

W ciągu 22 lat przełożeństwa ks. Krzywańskiego kilkakrotnie zmieniali się pracujący z nim konfratrzy. Ks. Piątkiewicz opuścił Poznań 26 grudnia 1784 r. Umarł jako superyor w Lublinie. Na miejsce ks. Piątkiewicza przybył do Poznania ks. Andrzej Cykanowski, który po nie całorocznym nawet pobycie wyjechał do Lublina, przeznaczony do misyi. Później przebywał po różnych domach litewskich, następnie był kolejno dyrektorem w Seminarium externum w Warszawie, superyorem w Tykocinie i Siemiatyczach. W Poznaniu zastąpił go ks. Wawrzyniec Mischke. W r. 1787 opuszcza Poznań

drugi z ks. Krzywańskim przybyły konfrater ks. Raczyński. W Poznaniu uczył historyi kościelnej i dogmatyki. Po wyjeździe przebywał pewien czas w Iłłukszcie, Mohylewie, następnie wyjechał na misye do Astrachania, zwiedził Krym, Kaukaz, znaczną część Rosyi, był w końcu profesorem w seminaryum na Zamku w Krakowie, gdzie umarł 16 marca 1816 r. Miejsce ks. Raczyńskiego zajął ks. Kurkowski. W r. 1798 odwołał go ks. wizytator Jakubowski do Warszawy, posyłając na jego miejsce ks. Kazimierza Waśniewskiego. W Warszawie wykładał ks. Kurkowski teologię moralną, wyprosiwszy się następnie od ofiarowanego mu superyorstwa w Włocławku, zamieszkał w Łowiczu. W r. 1799 opuścił Poznań, zastąpiony przez ks. Kazimierza Kubeszewskiego, ks. Wawrzyniec Mischke po 14-letnim pobycie, aby objąć urząd superyora w Łowiczu. W 13 lat później powrócił do Poznania na urząd prefekta.

Dwukrotnie bawił w Poznaniu ks. wizytator Woliński, raz w r. 1789 na wizytacyi, drugi raz r. 1795, będąc na wizytacyi w Chełmnie, wstąpił także do Poznania w towarzystwie prefekta gnieźnieńskiego seminaryum, ks. Jakubowskiego, który w dwa lata później, kiedy ks. Woliński, tłómacząc się trudnością położenia, w jakiem się znalazło Zgromadzenie po rozbiorach, złożył swój urząd — został jego zastępcą.

Ks. Stanisław Kalla.

Z dziejów Domu Stradomskiego.

III. Seminaryum duchowne.

5. Rektor.

Każdorazowy przełożony stradomskiego domu Księży Misyonarzy był zarazem przełożonym czyli rektorem seminaryum duchownego dyecezyalnego, w tym domu pomieszczonego. Dom cały, mieszczący seminaryum stradomskie, był wyłączną własnością Zgromadzenia. Na Zamku krakowskim przełożony seminaryum, będącego w zarządzie Księży Misyonarzy, był również superyorem tamtejszych Misyonarzy, lecz tytułu superyora nie używał, albowiem kapituła krakowska nie życzyła sobie tego i dlatego nosił tylko nazwę prefekta seminaryum Zamkowego. Chciano w ten sposób usunąć nawet pozór, że to jest dom misyonarski, a przeciwnie zaznaczyć wyraźnie, że Misyonarze mają tam jedynie kierownictwo zakładu, nie zaś jego własność. Zato na Stradomiu przełożony zwykle używał tytułu rektora seminaryum duchownego. W akcie fundacyjnym Księcia Biskupa Szaniawskiego zowie się po prostu superyorem.

Władza rektora stradomskiego była większa niż władza prefekta w Zamkowem seminaryum. Nie ścieśniali go prowizorzy. Tu bowiem na Stradomiu władzy żadnej nie mieli, lecz miał ją rektor. Zakres kompetencyi rektora stradomskiego określa akt erekcyjny seminarynm stradomskiego w sposób następujący: „Co do sposobu przyjmowania, zaopatrywania i utrzymywania kleryków, idąc za Instytutem Zgromadzenia

Misyi, w tej sprawie nic nie postanawiamy, lecz wszystko zupełnie i całkowicie rezerwujemy jego przełożonym“ [1]).

Przełożeni mają więc zupełną władzę nad seminaryum, a ograniczenie miało miejsce tylko co do przyjmowania kandydatów z rodziny Męcińskich i Szaniawskich lub im powinowatych. Gdy nie było kandydatów z rodziny Szaniawskich, miał prawo dziedzic głównego majątku Szaniaw i O. Rektor kolegium w Łukowie prezentować kandydatów z biednej szlachty ziemi Łukowskiej. Gdy tego nie uczynili do połowy września, rektor miał wolny wybór kandydatów i na te miejsca rezerwowane.

Konwent generalny IX. (ses. 13) z r. 1724 zastanawiał się właśnie nad tem, czy przyjmować seminarya zależne od prowizorów, jak to było zwyczajem w Polsce. Chodziło właśnie o Stradom. Otóż Konwent odpowiedział, że z powodu różnych niedogodności, jakie wyniknąćby mogły w wypadku zależności od prowizorów, nie powinno się przyjmować seminaryum pod innymi warunkami, aniżeli tymi, jakie we Francyi w tym względzie się stawia, t. j. że seminarya duchowne powierzone nam mają być na zawsze, tak pod względem zarządu majątkowego jako też kierownictwa duchownego, zupełnie niezależne od kogokolwiek, z wyjątkiem samegoż biskupa dyecezyalnego. Dlatego to tak ograniczono prowizorów odnośnie do seminaryum stradomskiego.

Całe wychowanie młodzieży duchownej mają Misyonarze prowadzić według swego Instytutu, jak się wyraża wspomniany akt erekcyjny, czyli według systemu, jaki rozwinął się w Zgromadzeniu na podstawie praktyki i uchwał konwentów generalnych, powziętych w myśl soboru Trydenckiego.

Sobór ten na ses. 23, rozdz. 18, o reformie, postanowił ów tak zbawienny przepis o zakładaniu seminaryów dla kleryków. Mianowicie żąda Sobór, aby wszystkie kościoły kate-

---

[1]) De modo vero assumendi, providendi et conservandi clericos, Institutum Congregationis Missionis sequentes, nullam hic rationem habere volumus; sed id plene et ex integro suis superioribus reservamus.

dralne, metropolitalne i wszystkie inne, od tych wyższe kościoły, utrzymywały i kształciły w naukach duchownych pewną liczbę młodzieży, w miarę funduszów i rozległości dyecezyi, w kolegium dogodnem na ten cel wybranem, umieszczonej. Przyjmować należy do kolegium młodzieńców z prawego małżeństwa, liczących przynajmniej lat 12, umiejących czytać i pisać, a przez swój charakter i przymioty dających rękojmię, że się poświęcą stanowi duchownemu. Pierwszeństwo mają mieć ubodzy, ale nie wyklucza się bogatych, jeżeli ci utrzymywać się będą własnym kosztem i będą chcieli poświęcić się na służbę bożą.

Otóż wydawać się mogło rzeczą prostą i łatwą zgromadzić kilkunastu bogobojnych chłopców i przysposabiać ich w nauce i cnocie do kapłaństwa. Tymczasem doświadczenie pokazało, że nie małą sprawą było urzeczywistnić przepis trydencki o seminaryach. Wprawdzie Grzegórz XIII. założył *Collegium Gregorianum* w Rzymie, ale to była akademia naukowa, gdzie kształcono młodzież przychodnią, a niekiedy miewano do niej konferencye duchowne. Nie było to seminaryum trydenckie. Św. Karol Boromeusz próbował zakładać seminarya, ale to nie znalazło naśladownictwa. Próbowali również inni gorrliwi biskupi, między nimi św. Franciszek Salezy; lecz wszyscy bez większego powodzenia. Nie udało im się stworzyć dokładnego modelu, ściśle według zasad soboru Trydenckiego ułożonego. A przecież wołały o to synody we Francyi w XVI. w. odbyte w Rouen, Bordeaux, Reims, Tours itd.

U nas w Polsce ujawiają się podobne usiłowania. Synod warszawski pod przewodnictwem prymasa Jana Przerębskiego z r. 1561 postanawia: „Celem założenia pewnego seminaryum dla kleryków i kapłanów (których brak Kościół w obecnym czasie bardzo odczuwa) postanawia ten święty synod, że należy zreformować wszystkie szkoły, tak partykularne jak i uniwersalne, a zwłaszcza studyum Krakowskie. Przedewszystkiem więc uniwersalne studyum Krakowskie niech zreformuje, według rozporządzenia statutów, Najprzewiele-

bniejszy Ksiądz Biskup Krakowski łącznie z Wielebną swą Kapitułą. Szkołę zaś poznańską, ufundowaną niegdyś przez Czcig. Jana Lubrańskiego, niechaj Najprzewielebniejszy Ksiądz Biskup Poznański ze swą Kapitułą podobnież zreformuje i do lepszego stanu przywróci, a za pieniądze z majątków Stawiszeńskich niech kupi pewny czynsz, i z nich też niech zrestauruje budynki kolegium i utrzymuje w niem odpowiednich nauczycieli. Inni zaś Najprzewielebniejsi Biskupi starać się mają zreformować szkoły partykularne, czyto metropolitalne, katedralne, czy kolegiackie, jak również parafialne, i niech przynaglą księży Scholastyków albo innych prałatów, do których staranie o szkoły należy, czyto na podstawie prawa, czy erekcyi lub fundacyi, aby opatrzyli uczciwą zapłatą magistrów i nauczycieli, zwłaszcza jeżeli sami mają prelatury bogato uposażone. Gdyby zaś jaka dawna dotacya została zabrana jakim szkołom partykularnym przez proboszcza lub kogo innego, powinni się postarać przez swych wizytatorów, aby została szkole przywrócona. Postanawia nadto ten św. synod, aby poszczególni biskupi dyecezyalni starali się założyć w dogodnem miejscu swej dyecezyi kolegium i w niem zaopatrywać pewną ilość uczniów w pożywienie i ubranie, tym zaś, co się odznaczą zdolnościami i pilnością, dawać jakie stypendya, z których liczby możnaby następnie niektórych zależnie od wieku i przymiotów wyświęcić, a po udzieleniu święceń, użyć do spełniania obowiązków i zadań kościelnych. Ten św. synod spodziewa się, że w taki sposób utworzy się jakie seminaryum zdolnych kleryków“ [1]).

To samo zaleca uczynić sławny synod prowincyonalny Piotrkowski z roku 1577 (rozdział 34). Do tej samej materyi wraca również synod Piotrkowski 1589 (rozdział 3) i dodaje, żeby ci biskupi, którzy w swych dyecezyach nie mają seminaryów dla kleryków, zastosowali się do przepisów soboru Trydenckiego w tej sprawie wydanych.

---

[1]) Zbiór Wężyka wyd. 1761 r., str. 265 i nast.

Biskup krakowski Bernard Maciejowski, poźniejszy prymas i kardynał, zwołał synod dyecezyalny w r. 1601 i tam wydał dekret o założeniu seminaryum dla kleryków. Lecz odstąpił w nim nieco od myśli Soboru, który poleca, aby i młodszych, t. j. 12-letnich chłopców przyjmować do seminaryum. Biskup Maciejowski postanowił przyjmować tylko tych, którzy już przynajmniej w części byli przygotowani, *qui iam in litteris per alias scholas mediocriter fuerint versati*. W Krakowie bowiem liczne szkoły i akademia dawały dobrą sposobność do nabycia potrzebnej nauki. Tę uchwałę synodu wprowadził w czyn w krótkim czasie. Akt urzędowej erekcyi seminaryum na Zamku w Krakowie wydał dnia 20. grudnia 1602 r. W 80 lat później objęli je Księża Misyonarze w swój zarząd i kierownictwo. Historyę tego seminaryum zamkowego opisał ks. Stanisław Wysocki (Lwów 1902). O innych seminaryach w Polsce pokrótce mówi Encyklopedya kościelna (tom 25., artykuł „Seminarya w Polsce").

Św. Wincenty zajmował się gorliwie sprawą wychowania kleru, rozumiejąc dobrze, że moralność i dobrobyt ludu w wielkiej mierze zawisł od duszpasterzy. Lecz i on nie zdołał z początku trafić dokładnie w myśl soboru Trydenckiego. Nie udała mu się sprawa w r. 1635, gdy do kolegium *des Bons Enfants* przyjął kilku chłopców dwunasto i czternastoletnich. Również nie miał szczęścia całkowitego, gdy w sześć lat potem czynił próbę założenia seminaryum w Annecy, na życzenie tamtejszego biskupa, mimo, że tu przyjął kandydatów posiadających już średnie wykształcenie. Tak samo było ze seminaryami w Arlet i Saintes. Wreszcie zdołał urzeczywistnić myśl Soboru całkowicie. Zauważył, że przyczyną niepowodzeń dotychczasowych było głównie to, że chciano prowadzić młodzież już dojrzalszą z nieletnimi chłopczykami. To pokazało się niemożliwem. Należało ich rozdzielić: starszych dać do seminaryum, młodszych zaś do osobnego oddziału, z którego potem powstało Małe Seminaryum. To postąpienie dopiero dało sukces całej sprawie.

Równocześnie niemal ze św. Wincentym wpadł na tę szczęśliwą myśl również głośny we Francyi ks. Olier, założyciel sławnego seminaryum św. Sulpicyusza w Paryżu. Św. Wincenty założył Seminaryum Internum dla Zgromadzenia Księży Misyonarzy w Paryżu 1637, seminaryum dyecezyalne w Annecy 1641, *des Bons Enfants* 1642. Seminaryum u św. Sulpicyusza założone zostało 1642 r. [1]).

Odtąd powstawały liczne seminarya we Francyi, zwłaszcza pod kierunkiem Księży Misyonarzy i OO. Oratoryanów. Misyonarze stworzyli z czasem swój własny system wychowawczy kleryków, mając na uwadze sposób, w jaki św. Wincenty dążył do ukształcenia młodzieży duchownej we wiedzy i cnocie potrzebnej duchowieństwu.

Już drugi konwent generalny Zgromadzenia z r. 1668 zaleca, aby, o ile to wykonać się da, zachowywać we wszystkich seminaryach prowadzonych przez Misyonarzy ten sam regulamin. Była to wielka zasada jednostajności, bardzo potrzebna ze względu na częste zmiany konfratrów. Taka zmiana mogła była spowodować ciągłą zmianę w edukacyi kleru. Lecz, ponieważ wszędzie był tensam system, nowo przybyły konfrater łatwo mógł wżyć się w swoje obowiązki i prowadzić dalej dzieło wychowania przez swych poprzedników zaczętę.

Znacznie więcej postanowił Konwent III., z r. 1673, odnośnie do kierownictwa seminaryami. Poprzedni Konwent zajął się więcej klerykami, ten zaś zwraca się głównie do przełożonych. A mianowicie najpierw określa, jakimi przymiotami ma się odznaczać kierownik seminaryum duchownego. Powinien mieć wysokie pojęcie o ważności swego zadania, gdyż biskupi, powierzając mu seminaryum, oddają jego pieczy to, co mają najdroższego. Od dobroci kleru zależy dobroć wiernych, a dobroć duchowieństwa zawisła od dobrego kierownictwa w seminaryum. Celem wszystkich prac dyrektora seminaryum i jego pomocników ma być uformowanie kapła-

[1]) Bougaud, św. Wincenty a Paulo, tłum. ks. St. Konieczny, Kraków 1912, str. 152—163.

nów głębokiej cnoty i takiej wiedzy, żeby mogli godnie pełnić obowiązki swego stanu, nauczać i uświęcać wiernych przez sprawowanie władzy świętej. Jest to cel nadprzyrodzony, do którego dążyć nie można bez pomocy i łaski Boga. Przełożony seminaryum powinien być tak cnotliwym, żeby mógł zawsze służyć za wzór dla seminarzystów. Wzorem zaś dla dyrektora ma być Pan Jezus obcujący ze swymi uczniami, których uczył słowem i przykładem. Powinien więc naśladować Zbawiciela w pokorze, słodyczy, cierpliwości i mądrości. Ma się odznaczać czystością nauki ewangelicznej, aby mógł natchnąć swych podwładnych temi samemi zasadami, któremi Chrystus napawał swoich uczniów. Dyrektor seminaryum ma się jednoczyć z Bogiem przez gorliwość w modlitwie i oderwanie się od świata. Powinien żywić wielką miłość ku Kościołowi, odznaczać się gorliwością w staraniu o postęp duchowny kleryków i czuwać, by się przejmowali duchem Kościoła św.

Mając takie przymioty dyrektor może należycie spełnić swój wysoki urząd. A mianowicie usilnie starać się ma, by regulamin ustanowiony był w seminaryum przez wszystkich wiernie zachowany. Dalej niech według sił swoich zapobiega przyjmowaniu do seminaryum kandydatów o złych obyczajach, lub przejętych niebezpiecznemi doktrynami, albo mających zepsutą sławę. W tym celu powinien zasięgać informacyi o zgłaszających się i w razie potrzeby przestrzedz biskupa. Gdyby się zgłosili do seminaryum jacy zakonnicy, to tych nie należy przyjmować, chyba że są proboszczami, lub gdy biskup przyjąć ich poleci.

Przyjętych do seminaryum należy pouczyć, jakie praktyki i ćwiczenia seminarzyści spełniać powinni, i nikogo od żadnego obowiązku ciążącego na seminarzystach nie powinno się dyspenzować. Rozmieszczając alumnów po różnych salach ma dyrektor baczyć na to także, aby tych, którzy się wydają mniej cnotliwymi, nie umieszczał wszystkich razem, gdyż pośród nich należy dać także kogoś roztropniejszego. A przytem w każdej części domu ma mieszkać stale jeden z Misyonarzy,

aby mógł uważać na alumnów i nie dopuścić do żadnych uchybień. — Do przełożonego należy dbać o to, aby alumni nie wychodzili często poza seminaryum. Również poleci seminarzystom, aby wizyty, jakie odbierają od ludzi, nie trwały długo. Surowo zaś zabronić powinien seminarzystom, żeby nie chodzili jedni do drugich do stancyi na rozmowy, gdyż przez to nie tylko sami czas tracą, lecz innym go także zabierają. Nawet niech zapowie, że nieposłusznym pod tym względem poleci się opuścić zakład.

Dyrektor seminaryum nie może ograniczyć swych starań do samych seminarzystów, lecz ma czuwać również nad Misyonarzami, którzy z nim razem pracują w seminaryum. Ma dbać o to, aby dobrze spełniali swoje urzędy, i w tym celu badać, jak odbywają wykłady, konferencye, ceremonie i inne obowiązki. Osobliwie zaś niech czuwa, aby jak najpunktualniej dzwoniono na ćwiczenia. Odźwierny ma dozorować, aby nikt z obcych nie wchodził do mieszkań i nie hałasował na dziedzińcu, jak również, żeby nikt zawczas z domu nie wychodził i za późno nie wracał. Gdyby kto zbyt często wychodził albo wrócił nietrzeźwy, ma dać znać przełożonemu. Gdy się zbiorą w seminaryum księża z miasta na konferencyę, to klerykom nie powinno się pozwalać, żeby z nimi prowadzili rozmowy.

Co się tyczy upominania, to tu powinien dyrektor bardzo systematycznie postępować i przestrzegać następujących przepisów. Jeżeli chodzi o upomnienie publiczne, to jest wobec wszystkich alumnów, to takiego nie czyni się, jeżeli nie zachodzi widoczna potrzeba jawnej admonicyi i jeżeli przynajmniej kilku nie zawiniło. Publiczne upomnienie należy zacząć od jakiejś pochwały. Mówić przy tem z pobożnością i bez namiętności. Wykazać za pomocą argumentacyi, że sprawa będąca przedmiotem upomnienia jest rzeczą większej wagi, zwłaszcza wtedy, gdy się wydaje małem tylko uchybieniem. Przy tem zawsze trzeba wyróżnić tych, co są niewinni, i przy naganie nie łączyć ich z winnymi. Zapewnić trzeba potem, że się nie poprzestanie na słowach upomnienia, lecz czuwać się będzie także nad zastosowaniem danych

uwag. Niekiedy należy ostro wystąpić w słowach, a mianowicie przeciw tym, którzy wszystko obracają w śmieszność lub odwracają innych od zachowania przepisów i sami je przekraczają. Surowo skarcić należy także tych, którzy głoszą, że nie należy ufać tym lub owym seminarzystom, bo donoszą przełożonym. Rzadko zaś ma grozić publicznie, że o uchybieniu doniesie biskupowi. Po każdem upomnieniu publicznem należy podwoić pilność i czuwanie i robić uwagi tym, którzy uchybiają, gdyż bez tego na nicby się nie przydały te jawne admonicye. Upomnień nie należy dawać podczas konferencyi, aby te ćwiczenia nie stały się przykremi dla kleryków. Trzeba zatem wybrać inny czas na to, na przykład po rannej medytacyi.

Co do upomnień prywatnych, udzielać je trzeba uchybiającym nie publicznie, lecz tylko prywatnie, gdy nikt albo nie wielu wie o uchybieniu. Jeżeli przełożony przyszedł do poznania uchybienia przez doniesienie, ma się wypytać uchybiającego, czy to prawda. Dalej powinien wykazać złe następstwa takich uchybień i zachęcić go do poprawy w sposób łagodny, lecz zarazem energiczny.

Sprawę wydalania ze Seminaryum duchownego omówił już konwent generalny z roku 1668 (nr. 10). Polecił najpierw ułożyć się zawczasu z biskupem co do tego, jakie wykroczenia mają powodować wydalenie alumna ze Seminaryum. Za takie występki uważa konwent: przebywanie przez noc poza zakładem bez pozwolenia, pójście do kabaretu, pijaństwo, zupełne niezachowanie regulaminu. Gdy więc coś takiego zajdzie, przełożony donosi o tem biskupowi, a względnie jego wikaryuszowi generalnemu, i dopiero za ich wiedzą wydala winnego.

Środki do utrzymania dobrego ducha w Seminaryum lub do podniesienia go w razie upadku i obniżenia się karności, podaje Konwent następujące: należy przestrzegać ścisłego zachowania milczenia przez cały dzień poza czasami rekreacyi, osobliwie rano przed modlitwami i wieczorem po rachunku sumienia. Powtóre pilne staranie, by zaraz na znak

dzwonka stawiali się wszyscy na miejsce przeznaczenia bez zwłoki, dalej o skupienie ducha i o dobre zewnętrzne zachowanie się. Trzeba zalecić wielki szacunek i miłość wzajemną pośród seminarzystów. Objaśniać im, że chociaż te rzeczy zewnętrzne, jak punktualność i milczenie, mają na pozór nie wielkie znaczenie, to przecież w rzeczywistości wpływają w znacznej mierze na rozwój Seminaryum duchownego. Trzeba także starać się o czytanie regulaminu i objaśniać go alumnom co do punktów, którychby dobrze bez tłumaczenia nie rozumieli.

Ale wewnętrzne usposobienie seminarzystów ma być pierwszorzędnem i głównem zadaniem wszystkich wysiłków dyrektora Seminaryum. Dla osiągnięcia tego celu ma się posługiwać środkami, jakie wskazał konwent generalny z r. 1668, mianowicie rozmyślanie, modlitwa, powtórzenie medytacyi, konferencye duchowne, spowiedź, Komunia św. i komunikacya wewnętrzna. Również powinien zwrócić uwagę spowiedników na to, aby młodzież seminaryjną skłaniali do ćwiczenia się w modlitwie i obecności bożej oraz do praktyk życia pokutniczego i umartwienia. A ponieważ słowo boże zalicza się do najskuteczniejszych sposobów wyrabiania życia wewnętrznego i gruntownej cnoty, dlatego dyrektor powinien wyzyskać ten środek w konferencyach duchownych. Ma więc posiadać nie tylko cnotę, lecz także wiedzę kapłańską, którą zaczerpnie z odpowiednich dzieł. Do tego jest potrzebna biblioteka, zaopatrzona w księgi ascetyczne i teologiczne i inne dzieła wychowawcze. W mówieniu konferencyi powinien być plan nauk tak rozłożony, aby każdy seminarzysta miał sposobność wysłuchać całego cyklu konferencyi w czasie swego pobytu w Seminaryum. Co do sposobu mowy, ten ma być prosty, pobożny, pouczający i połączony z pewną powagą.

Dyrektor Seminaryum ma rozciągać nadzór nad każdym seminarzystą, starać się zgłębić ich cnotę i odróżnić prawdziwie cnotliwych od tych, co tylko pozory cnoty posiadają. Do tego celu służyć może częste porozumiewanie się z innymi

konfratrami, którzy razem z nim pracują w Seminaryum. Łatwo bowiem uwaga kilku ludzi odkryje stan rzeczywisty. Seminarzystom powinien zostawić pewną swobodę co do spowiedzi i tłumaczyć im, że chociaż dobrą jest rzeczą trzymać się stale jednego spowiednika, to przecież mogą pójść do kogo innego z domowych księży, jeżeli będą chcieli.

Zadaniem dyrektora jest, jak to powiedziano wyżej, przedewszystkiem praca nad wyrobieniem wewnętrznem seminarzysty. Ponieważ do nabycia wewnętrznej cnoty służy bardzo odpowiedne zachowanie się zewnętrzne, więc Konwent wspomniany wydał także odnośne przepisy co do skromności w ubiorze i wyzbycia się próżności. Poleca także inne praktyki życia kapłańskiego, jakoto czytanie codzienne rozdziału z Nowego Testamenta na klęczkach, i to, żeby się starali cenić te liczne i łatwe praktyki, które utrzymują w kapłanie życie wewnętrzne, a wiernych budują.

Wielką szkodę przynosi Kościołowi zbyt pospieszne przypuszczanie do święceń alumnów bez należytego przygotowania. Dlatego dyrektor Seminaryum ma poczytywać sobie za wielki obowiązek, aby nie dopuścić do święceń tych, którzy nie wykazują prawdziwego postępu w cnocie i to zwłaszcza wtedy, gdy on o tem ma zdać sprawę biskupowi. Rzeczą jego roztropności i gorliwości będzie przemawiać odpowiednio do ordynandów, zwłaszcza gdy nadchodzi czas święceń i przypominać im, jakiego usposobienia potrzeba do przyjęcia święceń, że każdy ma obowiązek zasięgać rady co do wyboru swego stanu. Ma wskazać niebezpieczeństwa grożące w stanie duchownym, powiedzieć o małej liczbie kapłanów zbawionych, a specyalnie ma upomnieć tych, w których nie upatruje potrzebnych warunków, aby się nie spieszyli z przyjęciem święceń. Nowo wyświęconym kapłanom należy dać wskazówki, jak mają swą pierwszą mszę św. odprawić w sposób najpiękniejszy, oraz wskazać na nadużycia, jakie zwykle towarzyszą tej uroczystości, gdy ktoś prymicye odprawia poza Seminaryum, aby tych nadużyć unikali.

O studyach w Seminaryum, które należą do głównych zadań dyrektora, później będzie mowa.

Żeby seminarzyści odnieśli trwałe pożytki ze Seminaryum, należy jeszcze wskazać im środki wytrwania w dobrem. Tu powinien dyrektor mieć na uwadze usposobienie każdego alumna z osobna, kierując się znajomością duszy poszczególnego młodego sługi bożego, dać mu odpowiedne rady według potrzeb jego duszy. Wreszcie zaś, tak jak im rozkazał rozpocząć Seminaryum od rekolekcyi, tak też powinni polecić, by swój pobyt tamże zakończyli ćwiczeniami pobożnemi, żeby ci młodzi kapłani zachęcili się do powzięcia mocnych postanowień dochowania wierności Bogu i odpowiedzenia jego Opatrzności wedle sił, na tym stanowisku, na jakie ich pośle.

Kierownictwo seminaryów jest nam powierzone przez biskupów. Im też należy zdać dokładną sprawę o każdym seminarzyście. Najwłaściwszy czas na to jest tuż przed święceniami, jak również pod koniec ich pobytu w Seminaryum. Wtedy to powinien dyrektor objaśnić biskupa o poszczególnych alumuach, mianowicie o ich cnotach, duchu, przymiotach naturalnych, o wiedzy, wieku, wychowaniu, o uzdolnieniu do wykładu katechizmu, do kazań itd., również o beneficyach, jeżeli kto jakie posiada. To sprawozdanie jest jednem z najgłówniejszych zadań kierownika Seminaryum.

Oto zasady, jakie zakreślił konwent generalny III., odbyty pod ks. Edmundem Jolly w r. 1673. Znać tu wpływ tego znakomitego prawnika i pomocnika św. Wincentego. Widać to stąd, że tak praktycznie i w duchu kościelnym są nakreślone te zasady przewodnictwa w Seminaryum. Nic dziwnego, bo ks. Jolly łączył znajomość prawa kościelnego ze znakomitą praktyką, której nabył w Rzymie, zanim wstąpił do Zgromadzenia Księży Misyonarzy. Reszty zaś miał dokonać duch św. Wincentego, którym Ks. Jolly wiernie był przejęty. Te zasady dawniejszych konwentów przeszły potem do tak zw. *Directoire des grands Séminaires confiés aux prêtres de la Mission.* W tym *Directoire* rozwinięto te same zasady,

a uwzględniono jeszcze dalsze przepisy odnośnie do zarządu seminaryów duchownych. Pierwszy raz dyrektoryum to wydano w r. 1846, za ks. generała Etienne, który je ułożył przy pomocy dwóch komisyi. Te zbadały wszystkie dotychczasowe źródła, począwszy od czasów św. Wincentego, jak nam to opowiada ks. Etienne w liście z 27. września 1846. Poczem rozłożono materyał systematycznie i wydano drukiem. Zrazu była to tylko próba, a potem miano zamienić ją w ustawę dla Zgromadzenie przez uchwałę konwentu generalnego. Uczynił to konwent z r. 1849, na sesyi XI. i XII. Drugie wydanie dyrektoryum wyszło w r. 1895 w Paryżu. Do dyrektoryum tego wcielono przepisy konwentu z r. 1668 (I.—XXV.), o których niżej mówić będziemy, gdy przyjdzie rzecz o obowiązkach seminarzysty. Dalej znajdujemy tam uchwały konwentu z r. 1673, o których dopiero co mówiliśmy, bo one traktują głównie o zadaniu przełożonego w seminaryum kleryków. Dalej uwzględniono cyrkularz jak również regulamin przedłożony przez ks. generała Caylę, odnośnie do seminaryów, a potwierdzony przez konwent generalny z r. 1788. W nim są powtórzone ogólne zasady wychowawcze, już przez poprzednie konwenty wyrażone, potem następują uchwały konwentów z lat 1685, 1711, 1724, 1786, 1788. Z późniejszych zasługują na uwagę głównie cyrkularze z 19. lipca 1881 i z 15. oraz 20. sierpnia 1894, wydane przez obecnego ks. Generała.

Mianowice 19. lipca 1881 wydał ks. Generał Fiat list cyrkularny, z okazyi zjazdu księży Wizytatorów i Superyorów francuskich zajętych w seminaryach dyecezyalnych. Debatowali wspólnie o seminaryach naszych i o studyach, tak naszych jak i w seminaryach dyecezyalnych. Ks. Generał zdaje sprawę z wyników obu komisyi, które oświadczyły się za dwoma latami filozofii, a trzema teologii. W czasie filozofii miałaby być uwzględniona pewna ilość nauk przyrodniczych i nieco teologii. Chwali egzamina piśmienne i domaga się poważnego traktowania egzaminu ustnego.

Z tego cośmy powiedzieli, ocenić możemy, jaką władzę i jakie powinności ma przełożony seminaryum, który zazwyczaj jest i przełożonym Misyonarzy w tym domu zajętych. W takim razie łączy w sobie podwójną władzę, dyrektorską i superyorską. Superyorska władza określona jest ustawami Zgromadzenia i dotyczy jedynie członków Zgromadzenia. Zdarzało się jednak, że dyrektor seminaryum nie był superyorem, lecz władzę superyorską posiadał ktoś inny w tym domu. Jaki stosunek miał zachodzić w takim razie między dyrektorem a jego superyorem, określił to już konwent z r. 1673. Od takiego dyrektora wymaga się tych samych warunków, co od tego, który jest zarazem superyorem, a więc: ma mieć te same cnoty, takie samo staranie i czujność, jak się wyżej powiedziało. Tylko że jest zależnym we wszystkiem od swego superyora, powinien uważać go za pierwszego dyrektora seminaryum, a siebie za drugiego. Taki dyrektor przewodniczy we wszystkich ćwiczeniach, jakie seminarzyści mają oddzielnie od ćwiczeń Zgromadzenia naszego. Ale gdyby na nich był obecnym ks. superyor, to do superyora należy odmówić modlitwę i wygłosić konferencyę. Gdyby zamiast superyora był tam obecnym ks. asystent, to także asystent ma przewodnictwo. Ks. dyrektor wogóle nie powinien nic ważniejszego czynić bez dozwolenia i porozumienia się ze swym superyorem. Ważniejsze upomnienia ma dawać ks. superyor. Dyrektor nie może grozić wydaleniem seminarzystom, jeżeli wprzód nie pozwolił mu na to przełożony domu. Zresztą dyrektor poucza i dozoruje seminarzystów, aby dobrze spełniali swe obowiązki. Przynajmniej co miesiąc ma odbyć konferencyę ze swym superyorem nad sprawami seminaryjnemi. Ale sprawozdanie o stanie seminaryum i o poszczególnych seminarzystach przedkłada biskupowi nie dyrektor, lecz superyor.

Wreszcie należy wziąć pod uwagę stosunek superyora w seminaryum do biskupa. Powiedzieliśmy, że konwent z r. 1724 (sesya XIII) poleca nie przyjmować seminaryów pod zarząd Zgromadzenia, jak tylko pod warunkiem, że nie będzie

tam żadnych prowizorów, posiadających władzę, a Misyonarze zależeć będą co do zarządu w seminaryum tylko od samego biskupa dyecezyalnego. Musieli Misyonarze przekonać się z doświadczenia, że instytucya prowizorów była dla nich uciążliwą i niepożyteczną. Lecz stosunek do biskupa był za to najzupełniej lojalny, a uległość Misyonarzy dla biskupa całkowita w sprawach kierownictwa jego zakładem wychowawczym kleru dyecezyalnego. O czem tak mówi konwent generalny z r 1673 (Nr. 34): „Wreszcie ponieważ mamy zaszczyt być urzędnikami biskupów co do tych funkcyi, dlatego powinniśmy zdawać im wiernie sprawę o postępie wszystkich seminarzystów etc“. Jeszcze wyraźniej oświadcza to wspomniane dyrektoryum (na str. 88—89): „Biskup jest z prawa bożego pierwszym przełożonym w seminaryum, a my jesteśmy tylko jego sługami i delegatami. Tak więc superyor nie powinien przedsiębrać nic ważniejszego, czy to co do spraw duchownych, czy doczesnych, bez uprzedzenia go o tem i zasięgnięcia jego porady. Będzie mu zdawał sprawę od czasu do czasu, osobliwie przed święceniami lub opuszczeniem seminaryum, o stanie seminaryum, o postępie uczniów w cnocie i nauce, o charakterze, talencie, sądzie, zdatności zdrowiu każdego seminarzysty. Zanim kogo przyjmie do seminaryum, zasięgnie informacyi, o ile można pewnych i dokładnych, o kandydacie, zakomunikuje takowe swym doradcom i w decyzyi zastosuje się do zamiarów biskupa. Również nigdy nie wydali żadnego alumna, zanim biskupowi nie przedłoży tej sprawy i nie otrzyma jego przyzwolenia. Wreszcie dla uniknięcia trudności, powinien starać się, aby z nikim spraw seminaryjnych nie załatwiał, jak tylko z biskupem“. Zależy więc superyor od biskupa tak co do przyjęcia jak i co do wydalania seminarzystów, jak wogóle co do całego kierownictwa kleryków. Nic ważniejszego nie może wykonać bez jego wiedzy lub wbrew jego woli. Tego stanowiska Zgromadzenie zawsze się trzymało. Ścisła łączność i kontakt z biskupem co do rzeczy dotyczących seminaryum i zupełne posłuszeństwo dla niego, to praktyka Zgromadzenia.

Tylko jednej rzeczy nie chce Zgromadzenie, a tą rzeczą jest oficyalna czyli urzędowa wizytacya biskupa w seminaryum. O tej sprawie wydał już ks. Alméras rozporządzenie dnia 30. marca 1662 roku. Zwłaszcza zwracał uwagę, że Misyonarze posiadają zupełną egzempcyę z pod jurysdykcyi biskupów i dlatego biskup nie ma prawa wizytować mieszkań, osób i rzeczy, będących własnością Misyonarzy, choć się znajdują w seminaryum. Ma zaś prawo wizytować ich tylko co do kierownictwa i nauczania w seminaryum. I to nie publicznie wobec seminarzystów Raczej przedłożyć mu należy, by swoje dezyderata objawił wyższym przełożonym Zgromadzenia. Zwłaszcza nie mógłby superyor zgodzić się na cobądź, coby nie zgadzało się z ustawami Zgromadzenia. Co do zarządu czyli administracyi majątków również tylko ogólnie można podczas wizyty biskupiej przedkładać, ilu seminarzystów i za jaką kwotę utrzymywali. Ścisłe rachunki podlegają badaniu wyższych przełożonych Zgromadzenia. Pod tymi warunkami bowiem godzi się Zgromadzenie przyjmować kierownictwo seminaryów. Oficyalna czyli uroczysta wizyta wogóle nie okazuje się potrzebną wobec częstych stosunków przełożonego z biskupem, a łatwo może narazić na szwank przywileje Zgromadzenia lub na jakie nieporozumienie. Stąd wcale nie jest pożądana. Lecz tem pożądańszą jest wizyta biskupa nie urzędowa, która łączy korzyści urzędowej, a nie mieści w sobie jej niebezpieczeństw ani też uciążliwości.

Wreszcie rozpatrzeć nam należy stosunek dyrektora do konfratrów Misyonarzy, którzy z nim razem, pod jego kierownictwem, pracują w seminaryum. W ten sposób otrzymamy obraz całkowity prac i powinności dyrektora.

Na Stradomiu każdorazowy superyor był też rektorem seminaryum. Więc łączył władzę dyrektora i superyora w swej osobie. Przytem biskup Szaniawski obdarzył go, jak wspomnieliśmy, całkowitą swobodą w przyjmowaniu seminarzystów.

Pierwszym rektorem stradomskim został ówczesny superyor ks. Stanisław Siedlecki. W czasie wizytacyi odbytej w maju 1732 roku przez ks. wizytatora Jana Aumont otrzy-

mał między innemi polecenie, żeby na Stradomiu zaprowadził taki sam porządek, jaki wtedy był u świętego Krzyża w Warszawie, bo tu na Stradomiu jest druga Warszawa, jak się wyraził ks. wizytator. Ks. Siedlecki zmienił się z ks. Andrzejem Kustrzyńskim na urzędy. Ks. Kustrzyński przyszedł ze Zamku, gdzie był prefektem, na Stradom na superyora, a jego miejsce zajął ks. Siedlecki, dnia 17. stycznia 1733 roku [1]).

Prawdopodobnie za ks. Kustrzyńskiego odbyła się składka na statuę św. Wincentego w bazylice św. Piotra w Rzymie. Podobiznę tej statuy podają *Annales de la Congrégation de la Mission* z r. 1907 (str. 335). Dochowała się lista ofiar, jakie złożyły polskie domy na ten cel. Mianowicie Warszawa dała czerwonych złotych 30, Stradom dał 50, Zamek krakowski 30, Lipowiec rezydencya 5, Wilno 30, Chełmno 10, Sambor 10, Przemyśl 10, Horodeńka 5, Zasław 5, Lwów 10, Gdańsk 25, Włocławek 10, Płock 15, Gniezno 10, Lublin 10, Krasnystaw (liczby nie podano), Siemiatycze 10, Smiłowicze 5, Mława (liczby nie podano), Brzozów 10. Na końcu podano sumę czerwonych złotych 300. Również za ks. Kustrzyńskiego odbyła się wspaniała uroczystość z okazyi kanonizacyi św. Wincentego a Paulo. Trwała ośm dni w maju 1739. Po ks. Kustrzyńskim został superyorem i rektorem ks. Michał Brzozowski, od r. 1739—1757. Byłto człowiek ceniony dla swej gorliwości i wielkiego rozumu. Stan domu stradomskiego wynosił w 1739 roku 10 księży, 18 studentów, 3 seminarzystów i 6 braci, jak podaje relacya księdza wizytatora Śliwickiego do ks. generała po wizytacyi w r. 1740.

Ks. Śliwicki zamianował go swym zastępcą, wicewizytatorem, w roku 1746, gdy się wybierał na konwent do Paryża. Po ks. Brzozowskim nastąpił ks. Jakób Włodarski, od roku 1757—1776. Za niego książę biskup Sołtyk w r. 1705 zatwierdził regulamin seminaryum stradomskiego [2]).

---

[1]) Liber venientium in Stradom, hac die.

[2]) Ks. Wysocki, Seminaryum zamkowe, str. 146 i nota.

Ks. Włodarski wystawił w naszym kościele nowy wielki ołtarz z czarnego marmuru. Konsekrował go ks. biskup sufragan Potkański. Sprawił figury Apostołów kamienne do nyż w kościele, oraz nowe obrazy do ołtarzy i umywalnię w zakrystyi. Po nim rektorstwo objął ks. Andrzej Hewner, od r. 1776—1795. Za niego spadły wielkie klęski majątkowe na Stradom: Austryacy zagarnęli wszystkie majątki położone w Galicyi. Okazyą do tego było uwięzienie biskupa Sołtyka przez Kapitułę w pokojach, należących do seminaryum zamkowego, będącego pod zarządem Misyonarzy. Kapituła uczyniła to z powodu postępującego coraz bardziej obłędu, w jaki wpadał ów biskup. Austryacy zaprzeczali chorobę biskupa i za karę zabrali kanonikom i Misyonarzom ich majątki. Ukarali zaś nie tylko Misyonarzy zamkowych, lecz i stradomskich. Była to niesłuszna krzywda, gdyż biskup rzeczywiście ciężko zachorował na umysł i dopuszczał się niewłaściwości. Wtedy to właśnie, dnia 15. kwietnia 1782 r. zabrano Misyonarzom stradomskim wioski Laskowę, Dobronowice i Wolę Dobronowską, oraz folwark za Wisłą zwany Stawisko i Wierzchowisko. Zabrali jeszcze sumę w gotówce 245.503 złotych polskich. W tym dniu stracił Stradom dochodu rocznego 30.650 złotych polskich. Strat tych nie udało się odzyskać.

Po ks. Hewnerze objął przełożeństwo ks. Michał Świżyński od r. 1795—1800. Za niego przypada ostatni rozbiór Polski, w którym Kraków dostał się Austryi. Potem rektorem był ks. Wojciech Piętkiewicz, 1800—1801. Jego następcą został ks. Jan Kanty Górnicki, od roku 1801—1817. On spowodował połączenie seminaryów krakowskich, zamkowego i akademickiego ze stradomskiem, którego rektorem został. Był też dziekanem fakultetu teologicznego. Zbyt dbał o względy rządu. Po nim nastąpił ks. Grzegórz Bieńkowski i był rektorem od roku 1817—1823. Są to czasy Rzeczypospolitej krakowskiej. W r. 1820 było 34 kleryków dyecezalnych. Rektorem fakultetu był ks. Bieńkowski, profesorami Misyonarze, w liczbie czterech.

Od r. 1823—1829 rektorstwo sprawował ks. Tomasz Waleszyński. Stan teologii był taki sam jak poprzednio, tylko od roku 1829 jest pięciu profesorów Misyonarzy. Stosunki ówczesne na Stradomiu, zwłaszcza pewne nieporozumienia co do studyów z biskupem Woroniczem, opisuje ks. Wojciech Malinowski w swych wspomnieniach. Następnym rektorem był ks. Kazimierz Brzozowski od r. 1829—1832, a od r. 1832—1834 ks. Wojciech Malinowski. Po nim zaś ks. Piotr Hersztowski, 1834—1839. Za niego przybył na Stradom ks. Filip Gołaszewski i pozostawał tu aż do śmierci, w r. 1895 Zaczął uczyć filozofii i historyi kościelnej. Po ks. Hersztowskim sprawował urząd rektora ks. Antoni Dąbrowicz, od r. 1839—1856. Potem ks. Tomasz Popławski, od r. 1856—1858. Dalej ks. Piotr Rogowski, 1858—1860. Dłużej nieco był rektorem ks. Stefan Klinger, od r. 1860—1872. Po nim nastąpił ks. Feliks Gawroński, od r. 1872—1874. Potem ks. Filip Gołaszewski, od r. 1874—1892. Ostatnim rektorem seminaryum duchownego na Stradomiu był ks. Kajetan Sakowski, 1892—1901. W jesieni 1901 r. przeniósł ks. kardynał Puzyna seminaryum dyecezyalne do nowego gmachu obok domu Długosza, a zarząd w niem zlecił klerowi świeckiemu.

Ks. Fr. Bączkowicz.

Z przeszłości obydwóch Zgromadzeń w zaborze rosyjskim.

VII.

XX. Misyonarze w Łyskowie.

(Ciąg dalszy).

Zbudowanie kościoła łyskowskiego i jego uposażenie.

Wyżej wzmiankowany Maciej Kłoczko vel Kłodźko postawił pierwszą w Łyskowie świątynię w 1527 roku, gdy jeszcze był marszałkiem hospodarskim (nazywają też nadwornym litewskim), co trwało od roku 1522 do 1532 [1]); on też nadał kościołowi pierwotny fundusz, potem Woynowie, późniejsi posiadacze Łyskowa, dodali do tego jeszcze rozmaite majątki, a byli i tacy, którzy rozmaite zapisy sum pieniężnych uczynili; wszystko to razem, wytworzyło dość znaczną całość mienia kościelnego, które jednak z czasem zmalało i stało się mniejszem. Z początku uposażenie to się składało: z jurydyki niemałej w samym Łyskowie, z kilku wsi, folwarków, uroczysk, 2 stawów z młynami, lasów etc.[2]); włości te były następujące: Wereszczaki, Kuziewicze, Stackowszczyzna vel Stetkowszczyzna, Mikołajewicze, Suchadolina, rozmaite uroczyska, jako to: Kuleszycha, Jaroszycha,

---

[1]) Cfr. Żychliński, Złota Księga Szlachty Polskiej, XVII.

[2]) Na podstawie wyciągów z wizyt dawnych tego kościoła.

Hłuboka-Dolina, Chwatów, Wielikie Pole etc., słowem obszary pokaźne.

W XIX. wieku zaszły pewne zmiany w posiadłościach XX. Misyonarzy łyskowskich: z niektórych wsi wyzuli się, utracili parę folwarków, przez zamianę otrzymali inne; tak np. w 1802 r. za Kuziewicze otrzymali Kołyskowszczyznę i dopłatę 35, 200 zł., a w 15 lat później posiadali ową Kołyskowszczyznę i Statkowszczyznę vel Stetkowszczyznę, mając nadto kapitału rubli srebrnych 10, 680, a mianowicie na hrabstwie różańskiem u Sapiehów 1500 rb., od Bychowców na Mohilowcach i innych dobrach około 7 tysięcy, od Jelców na Malatyczach (w słonimskim powiecie) 300 rb., u Suchodolskich na Niedzwiecku 150 rb., reszta u Bispingów na ich posiadłościach

Przed konfiskatą dóbr duchownych w zaborze rosyjskim [1]) (1842) w dwu tych majątkach (w powiecie słonimskim i wołkowyskim) mieli oni poddanych 171 i ową sumę pieniężną, a od niej procentów 747 rb. 60 kp.

Szpital miejscowy miał osobne dochody (bardzo szczupłe). Powstał on z zapisu X. Misyonarza Niewiarowicza [2]) w 1764 roku 400 złotych; potem fundusz powiększył Jan Bychowiec, marszałek wołkowyski i Franciszka Bychowcówna 1774 roku dodaniem z arendy łyskowskiej 600 złotych, a w 1808 roku jakaś Krystyna Fiszerówna zapisała 75 rb. na Niedzwiecku Suchodolskich; otóż od tej sumy 225 rb., pobierano procentu 15 rb. i 75 kp., które wydawano na rzecz ubogich, a potrzebną resztę w tym celu ofiarowywali XX. Misyonarze od siebie.

Czasem okoliczni obywatelowie przysyłali nieco produktów na żywienie biednych i chorych w tym szpitalu.

Ale mamy niektóre szczegóły z XVII. stulecia, tyczące się tych posiadłości, chociaż niejasno wystylizowane [3]), a mia-

---

[1]) E. T. (Eustachy Tyszkiewicz) Wiadomość historyczna o klasztorach w Tece Wileńskiej II. p. $^{22}/_{252}$.

[2]) X. Jan Kurczewski, Biskupstwo Wileńskie, l. c., p. 374.

[3]) Wyciagi z wizyty 1673 r. 18. września.

nowicie: „Robota z miasteczka (Łyskowa) tak ma być pełniona — lecie mają robić (mieszczanie) z każdego placa całego po dwojgu w tydzień przez tydzień, a zimie z placa każdego całego dwa dni po jednemu; z półplaca za się na jednym tygodniu dwa dni, a na drugim dzień jeden (zapewne w lecie), a zimie z półplaca jeden dzień; lecie jednak podczas plewidła czwarty dzień o chlebie X. Plebana; mieszczanie z placa każdego powinni (nadto) płacić groszy 16 polskich, a z morgów groszy trzy; procesa i listy za mil kilka odnosić mają."

Powinności zaś ze wsi Wereszczak, Kuziewicz (w innych zapewne tak samo) takie są zaznaczone:

„Z pół włoki po dwojgu lecie przez trzy dni robić, a zimie z pół włoki trzy dni po jednemu przez tydzień; czynszu z włoki złotych polskich sześć; owsa z włoki szanków [1]) trzy miary wileńskiej; kurów dwoje, jajec dziesięć, gęś jedną, albo kurów dwoje; podwodą służyć do Wilna, albo gdzie potrzeba będzie, powinni odprawić raz w rok."

Placów w Łyskowie posiadał kościół 17; ilość ziemi we wsiach nie podana.

Kościoł kłoczkowski w Łyskowie dwa razy był przestawiany, znowu reparowany kilkakrotnie; tak w pierwszej XVIII. wieku ćwierci przez Samuela-Dadziboga Bychowca, starostę lucyńskiego, a dziedzica łyskowskiego [2]); był on drewniany „piękną strukturą". Gdy na ostatek był on bliski upadku, XX. Misyonarze postanowili nowy wymurować. Kościół ten (czy dawny, czy potem wymurowany, a może obydwa) był pod wezwaniem Przenajświętszej Trójcy; funda-

---

[2]) Szanek — miara nasypna zbożowa; szanki były w użyciu dwojakie: jedne starej miary obejmowały garncy 48, a drugie, łasztowe o połowę mniejsze. O jakich tu mowa — nie wiemy.

[1]) Ten Bychowiec już przy końcu XVII. stulecia posiadał Łysków; miał on kilku synów: Jana, kanonika, potem prałata wileńskiego, Władysława, sędziego ziemskiego wołkowyskiego, Ludwika, pisarza skarbowego W. X. L., a Boniecki mówi jeszcze o czwartym Michale. Do Ludwika należały Doroszewicze, zapewne te, które są w powiecie teraz grodzieńskim.

menty położono w 1763 roku, a ukończono wszystko i nabożeństwo przeniesiono ze starego do nowego w dniu Wszystkich Świętych 1783 roku, poczem stary został rozebrany. Murowana ta świątynia miała się ładnie prezentować, posiadała pięć ołtarzy i dwie kaplice, z których jedną wybudowali Bychowcowie i pod nią znajdowały się groby familijne. W tej kaplicy stał nagrobek Jana Bychowca [1]), marszałka powiatu wodkowyskiego, sporządzony przez jego syna Józefa, krajczego W. X. L. i drugi, co postawił ten Jan, żyjący jeszcze w 1782 r., dla swoich przodków.

Kościół ten miał długości łokci 60, szerokości 18, wysokości 27, wieża zaś od dachu kościoła wynosiła łokci 24.

Odpusty w tym kościele: na Przenajświętszą Trójcę, na Święty Wincenty a Paulo i na Różańcową. Bractwa — Różańcowe, wprowadzone miało być przez prałata Bychowca i Świętej Trójcy. Kaplice: w Mohilowcach, Niedźwiecku, Hołowczycach, Zieleniewiczach i Libertpolu.

Naprzeciwko kościoła postawili też XX. Misyonarze Dom dla siebie murowany, ukończony w 1785 o piętrze, obszerny. Na dole: refektarz, kuchnia, spiżarnia, różnego rodzaju schowki, mieszkanie dla superyora, oratoryum, stancya dla prokuratora. Na piętrze: cele, których było kilkanaście, izba gościnna, „prokura“, biblioteka i rozmaite komory na skład różnych rzeczy.

W bibliotece wielkich 10 szaf i na początku XIX. stulecia mieściło się w niej ksiąg 1070. Obok klasztoru duży ogród, a dalej budynki gospodarskie.

Kiedy utworzono w Łyskowie parafię — nie wiemy, bo z XVI. wieku żadnych o nim nie posiadamy szczegółów, w XVII. zaś występuje ten kościół jako już parafialny.

W wizycie z 1668 roku, pomiędzy innemi czytamy: „parochia non est dislimitata; plures habet ritus graeci paro-

---

[1]) Ów Jan musiał być wnukiem wyżej wspomnianego Samuela i Donhofówny, a synem albo Władysława lub Ludwika, a może i Michała; Boniecki o tem nie mówi wcale.

chianos, catholicos-paucos, haereticum — unum Zieleniewski dictum".

Z wizyty z roku 1723 dowiadujemy się, że do parafii tej należało w tym czasie 18 dworów szlacheckich, a włościańskie następujące: w miasteczku Łyskowie domów 44, w Ławrynowiczach 16, w czterech wioskach, Mosiewiczach, Mohilowcach, Ogrodnikach i Papierni, domów 11, w hucie łyskowskiej 4, we młynie niedzwieckim 1, w Budnikach (?) domów 3, w Haniewiczach (?) 2, w Sokolinie (?) 3 [1]).

Wizyta z r. 1732 podaje nadto jeszcze inne miejscowości do tej parafii należące: dwór w Niedźwiecku, w Ławrynowiczach osobno dwór, a osobno wieś (razem tam ze 30 osób wyznania katolickiego), Zieleniewicze, Hołowczyce, Jałowo, Hrusk, Doroszewicze, w posiadaniu Ludwika Bychowca (sześć domów katolickich); oprócz tego dwory (bez nazwy): Antoniego Szemiota, Giedrojcia, Leopolda Bąklewskiego, Józefa Choroszewskiego, a w miasteczku Łyskowie wtedy już 50 domów katolickich.

Około roku 1781 ludności katolickiej w tej parafii, jakoby, liczono 700 [2]), a przy końcu XVIII. stulecia liczba ta miała dojść do tysiąca [3]).

Proboszczy łyskowskich w XVII. wieku znamy zaledwie kilku: w połowie (mniej więcej) tego stulecia X. Wojciech Rapuczyński [4]), razem i dziekan, około roku 1670 X. Albert Kapuściński; oprócz tego wspomniany jest X. Limanowski, podczas wojny moskiewskiej jakoby spalony, X. Jakób Lutostański i Krzysztof Rohaczewski [5]), o których z pewnością wiemy, że zajęci tam byli dusz pasterstwem w XVII. wieku, chociaż bliższych dat o nich doszukać się nie mogliśmy!

Przy samym końcu XVII. stulecia zaznaczają proboszczem łyskowskim owego Jana Bychowca, co potem tam XX. Mi-

---

[1]) Niektóre miejscowości nieznane wcale.

[2]) X. J. Kurczewski, Biskupstwo Wileńskie, Wilno 1912, p. 303.

[3]) Wyciąg z wizyty z r. 1801.

[4]) X. Kurczewski mówi o nim; cf. Litwa i Ruś, 1912, tom I.. p. 122

[5]) Są o nich wzmianki w tych wyciągach z wizyt łyskowskich

syonarzy sprowadził, ale się to wydaje nam niepewnem i podejrzanem, bo trwałoby to niezmiernie długo, a bliższych o tem szczegółów nie znamy, chociaż X. Kurczewski [1]) istnienie jego stwierdza, jako już kanonika wileńskiego, na koronacyi Obrazu M. B. w Trokach, która się odbyła, jak wiadomo, w 1718 roku.

W połowie XVIII. wieku (pomiędzy rokiem 1751—1753) zawitali tutaj XX. Misyonarze, którym oddał Biskup Zienkowicz *curam animarum* i fundusz parafialny. Pierwszym superyorem i razem proboszczem był X. Stanisław Skrzeszewski; onto właśnie zaczął w 1763 roku murować nowy kościół i prawie lat dziesięć prowadził fabrykę, jednocześnie stojąc na czele Zgromadzenia [2]). Jego następcy dalej kontynuowali tę budowę swoim wyłącznie staraniem i kosztem.

Po Skrzeszewskim rządził tym Domem X. Samuel Wiszniewski, a po nim X. Michał Bielecki, jego zaś następcą został X. Stanisław Zdulski, znakomita w Zgromadzeniu osobistość, zasłużona w dziejach łyskowskich, z którą się jeszcze spotkamy; na godność przełożonego w Łyskowie powołano go w r. 1781, a 7. maja roku następnego pożegnał świat ten mąż pobożny i pracownik w Winnicy Pańskiej wytrwały. Potem rządy przełożeńskie spoczęły w rękach X. Tomasza Chmielowskiego; on to właśnie poświęcał nowy wykończony kościół w 1783 roku i długo jeszcze następnie na tem zostawał stanowisku.

Około roku 1790 superyorował tutaj X. Dmochowski; po nim, jeszcze w XVIII. stuleciu, X. Konstanty Dąbkowski, jak się zdaje.

Szkoły łyskowskie w XVIII. wieku.

Szkółki parafialnej w Łyskowie w XVII. wieku nie było wcale; stanowiły one wtedy rzadkość na Litwie. W wizycie

---

[1]) Biskupstwo Wileńskie, t. c., p. 504.

[2]) Znamy tych tam pierwszych przełożonych z tychże wyciągów wizyt kanonicznych.

z 1668 roku zaznaczono: „Schola et bacalarus non est“. Dopiero XX. Misyonarze, oprócz dusz pasterstwa, przyjęli na siebie obowiązek tam nauczania. Zrazu powołali oni przy swoim kościele do życia szkółkę parafialną, a po pewnym przeciągu czasu urządzili tam coś w rodzaju szkół podwydziałowych, które jednak trwały bardzo niedługo i znowu tylko mieli szkołę parafialną, z większym nieco programem, niż zwykle, aż do upadku kraju, a nawet i potem. Nowy rząd w 1797 roku oficyalnie pozwolił XX. Misyonarzom kontynuować nauczanie i prowadzenie szkoły na większą nawet skalę, a w 1804 roku zmodyfikował ją na wzór uczelni p. z. powiatowych, mających do roku 1825 znacznie prawie gimnazyów, a potem zredukowano te szkoły do rzędu właściwie powiatowych i w takim charakterze, następnie ze znacznemi zmianami, przetrwała ta szkoła aż do końca swego istnienia.

Szkoły te nie były nigdy liczne, stąd dozór mógł być i był rzeczywiście lepszy, a był bardzo gorliwy. Uczono sumiennie i dość dużo, jak na owe czasy; wpajano zasady zacne, poczciwe, prastare, nasze; dbano, aby wiara zostawała w zgodzie z obyczajami i wkorzeniano w umysły młodociane wzniosłe ideały i obowiązkowość społeczną. Niemało też wyszło z tych szkół misyonarskich pożytecznych w dalszem życiu obywateli kraju, pobożnych zakonników rozmaitych reguł, kapłanów świeckich, a także różnych urzędników, wiernie krajowi służących. Całe szeregi miejscowej szlachty, zasobnej, a więcej ubogiej, tu się kształciły, a później ochoczo i poczciwie ci uczniowie niegdyś łyskowscy pracowali na rozmaitych stanowiskach, przynosząc plon i korzyści dla naszego społeczeństwa.

Pomiędzy nimi bywali i tacy, co potem zajaśnieli na szerszym horyzoncie naszym. Do liczby takich, pomiędzy innymi, należy np. X. Eliasz Mokrzycki, oficyał litewski, r. g., piastujący też wiele innych kościelnych godności, osobistość bardzo znana i poważana w swoim czasie, zmarły r. 1826 [1]).

---

[1]) Opisanie dok. arch. unick. metrop., Peters., 1907, II. p. 699.

Słynny misyonarz i znakomity Jezuita, O. Maksymilian Ryłło [1]), też tutaj nauki pobierał około 1812 roku. Lucyan Kraszewski, młodszy brat Józefa Ignacego [2]), również u XX. Misyonarzy łyskowskich rozpoczynał pierwotne nauki, będąc w 1831 r. w klasie pierwszej, a potem krajowi poczciwie służył. Znalazłoby się i więcej takich...

Profesorowie łyskowscy, XX. Misyonarze, odznaczali się starannością wielką i gorliwością pedagogiczną; uczyli się gruntownie w Zgromadzeniu, a niektórzy z nich kształcili się też i w uniwersytecie wileńskim, otrzymując tam stopnie akademickie; uczniowie korzystali bardzo z ich nauk, jak to wykazują wizyty szkolne; ale gdy powiał inny wiatr i postanowiono z góry naginać wszystko do nowych, obcych zupełnie ideałów i wprowadzić nasze społeczeństwo na inne tory, to taki właśnie zakład naukowy, jak w Łyskowie, nie mógł się podobać wyższym, decydującym sferom i w edykcie 1835 r., znoszącym te szkoły, powiedziano o nich, że je cechowały „zły kierunek i nieuctwo“!!

A teraz przechodzimy do faktów.

Kiedy zaczęli XX. Misyonarze w Łyskowie nauczać?

Daty dokładnej w tym względzie nie znamy, lecz takiego doznaliśmy wrażenia, jak gdyby to nastąpiło jeszcze przed otwarciem Komisyi Edukacyjnej i że to nauczanie zaczęło się tam wcześniej, niż zwykle zaznaczają, a w każdym razie jeszcze przed przybyciem do Łyskowa X. Zdulskiego już tam czegoś uczono, ale te początki są nam nieznane wcale; może zabrali się XX. Misyonarze do nauczania w jakich lat kilkanaście po przybyciu.

---

[1]) O. Marcin Czermiński S. J. z niewypowiedzianym wdziękiem, umiejętnie i wyczerpująco żywot jego przedstawił, Kraków 1911—1912, w ślicznych dwóch tomach!

[2]) Urodził się on w 1820 r., potem studyował w sławnym niegdyś uniwersytecie dorpackim; po roku 1864 zasłany w głąb Rosyi i ogołocony z mienia ojczystego (Dołhe w gub. grodzń.). Powróciwszy do kraju, umarł w r. 1892 w Honiatyczach u córki swojej Kazimiery Rulikowskiej, urodzonej z Stefanii Sułkowskiej.

Curriculum vitae wyżej wspomnianego X. Eliasza Mokrzyckiego [1]) rzuca niejakie światło na pierwsze może lata szkółki w Łyskowie.

X. Mokrzycki urodził się około roku 1760; w I. i w II. klasie był we Włodzimierzu na Wołyniu w III. i IV. w Łyskowie, a w 1779 roku szkoły ukończył w Zyrowicach, czyli, że zostawał tam ze dwa lata.

Otóż gdyby rozpoczął nauki, mając nawet jakich lat 13—14 (z tem się nie spieszono w dawnych wiekach), to na Łysków wypadnie czas, mniej więcej, pomiędzy rokiem 1775—1776, może nawet nieco wcześniej; wtedy już tam miano klasę III. i IV., znaczy nauczanie było już zaawansowane i musiało się, przynajmniej, od paru lat rozpocząć, coby wskazywało na to, iż zaczęto w Łyskowie uczyć około roku 1773, t. j. jeszcze, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przed przybyciem X. Zdulsklego, który przyłożył się bardzo do podniesienia szkoły.

Najdawniejszą wzmiankę o tej szkole znajdujemy w wyżej cytowanych wyciągach z różnych wizyt, ale, niestety, bez daty, ze wszystkiego jednak sądzić można, że to było w parę lat po przyjeździe X. Zdulskiego, bo jego staraniem postawiono tam szkołę. Tam tedy o tej czytamy szkole.

Zaraz pod kościołem jest budynek wielki kosztem XX. Misyonarzy niedawnymi laty wystawiony z rozmaitemi mieszkaniami, z salami do uczenia z piecami, kominami, z podłogami, zamczysto pozamykany, sztachetami od publicznej drogi kształtnie opatrzony, gontami pokryty; w tym budynku sami studenci, szlachta, stancye sobie najmują na swoim stole; dyrektorami ich i tych, co po mieście na stancyach stoją, są kapłan i kleryk ze Zgromadzenia Misyonarzy; ci uczą czytać, pisać, katechizmu, arytmetyki, historyi i geografii i na to swoje potrzebne książki mają; studentów bywa około 50 – szlachty albo synów prezbiterów (t. j. synów księży r. g); miejskich i wiejskich żadnych dzieci zwykle się

---

[1]) Opisanie archw. l. c.

nie znajduje; nauki się kończą na św. Wincenty a Paulo, a zaczynają po św. Michale.

Taki był program zapewne z początku: X. Zdulski, zająwszy się szkołami, znacznie go potem rozszerzył; trzeba więc słówko o tym kapłanie zacnym powiedzieć. X. Stanisław Zdulski [1]) urodził się w dyecezyi krakowskiej 22, maja 1739 roku (w Sieradzkiem byli Zdulscy h. Strzemię) i do Zgromadzenia wstąpił w Krakowie na Stradomiu 1760 roku. Po ukończeniu nauk, stanowi swemu właściwych i otrzymaniu święceń kapłańskich, zaczął z zapałem pracować w Winnicy Pańskiej i zasłynął z wielkiej gorliwości; następnie wyprawiono go do Łyskowa; kiedy się to stało, nie wiemy, ale ze wszystkiego wnioskować wolno, że może około roku 1775, mniej więcej; w Łyskowie piastował on urząd prefekta kościoła, misye odbywał i kierował szkołą do roku 1781.

W kwestyi nauczania wielkie on tam zasługi położył i oddawał się temu z wielką żarliwością; jego zabiegami i usiłowaniem stanął tam osobny dom na szkołę [2]); pedagogował on umiejętnie i pilnie; to też zwiększyła się rychło liczba uczniów i klas ilość.

Odznaczył się też on jeszcze w innym kierunku: zaprowadził śpiewy ludu po polsku podczas mszy; pracował również chętnie nad ludem w parafiach nawet unickich, gdzie go zawsze z przyjemnością widywano i przyjmowano; resztki nieraz zwyczajów pogańskich na Litwie starał się zwalczać, oczyszczając wiernych z dawnych przesądów i zabobonów, słowem był to mąż niepospolity i pedagog urodzony.

Wyżej cytowane *Mémoires* takie mu wydają świadectwo:

„Il fit si bons règlements, pour tout ce qui concerne l'avancement dans la science et dans la vertu, et pour la discipline de la maison que, de l'avis des gens les plus ex-

---

[1]) Mémoires de la Congrégation de la Mission en Pologne, Paryż 1863, p. 620 et sq.

[2]) Potem większy dom drewniany na podmurowaniu zaczął był stawiać na szkoły krajczy litewski, Bychowiec, ale umarł (1810) i dokończyła budowania już żona jego, naturalnie druga z domu Bispingów.

périmentés, il n' y a rien à en retrancher ni à y ajouter. Le bon ordre, ainsi établi, attira beaucoup d'élèves des bonnes familles et leur nombre monta; on accourait à cet établissement de trente ou quarante lieues à la ronde sans s'effrayer de la distance... Un an avant sa mort, M. Zdulski fut nommè supérieur de notre Maison de Łysków et il exerça cette fonction avec tant de bonté, de regularité et d'édification que tous ceux qui vivaient sous sa dépendance, peuvent rendre témoignage qu'ils avaient en lui non seulement un Supérieur, mais encore un père tendre et un modèle frappant de toutes les vertus de notre vocation".

Komisya Edukacyjna zgłosiła się do Łyskowa już po śmierci X. Zdulskiego. Wizytator, X. Franciszek Bieńkowski, tak w 1782 r. o tej referował szkole [1]: Łysków. Szkoły czyli konwikt z 86 uczniami, z tych 50 na stancyi u XX. Misyonarzy, plebanię tu mających. Dziedzicem tego miasteczka Bychowiec, marszałek wołkowyski, który o zatrzymanie tych szkół upraszał [2]). Oprócz prefekta czterech nauczycieli, wykładających nietylko elementarne nauki, lecz i inne nawet, ksiąg jednak potrzebnych [3]) nie mają, zatem odmiennym uczą sposobem. Retoryki i dwóch klas gramatyki są nauczycielami klerycy misyonarscy, infimy — świecki dyrektor, po niemiecku zaś uczy ten sam kleryk, co i gramatykę wykłada. Konwikt z drzewa obszerny, gdzie pod dozorem dyrektora mają uczniowie stancye; co do stołu, to są na cztery oddziały podzieleni podług płacy: *maximum* 200 złotych, *minimum* 50. Są tu dzieci nietylko z tego powiatu i sąsiednich, ale nawet i z Łomżyńskiego. Korzyść uczenia okazała się dobra; zalecono, aby nadal nauki szły podług przepisów Komisyi Edukacyjnej.

---

[1]) Wizyta ta w oryginale, razem z innemi, znajduje się w Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

[2]) Znaczy, że Komisya Edukacyjna już wtedy nosiła się z myślą zdegradowania tych szkół przynajmniej.

[3]) To jest uchwalonych przez Komisyę Edukacyjną.

Pomimo tego jednak postanowiono, aby te szkoły, podwydziałowe niby, skasować i zredukować je do rzędu szkółki parafialnej.

W roku następnym (1783) wizytator, X. Dawid Pilchowski, takie podał o Łyskowie szczegóły [1]).

Konwikt i szkoły łyskowskie, utrzymywane przez XX. Misyonarzy, z woli Komisyi Edukacyjnej, o której im urzędownie dnia 9 lipca 1783 roku doniesiono, są skasowane. Pozwolono tylko utrzymywać tam szkołę parafialną pod dozorem prorektora wołkowyskiego [2]), a nie szkoły jak dotąd na klasy podzielone.

A jednak to rozporządzenie Komisyi albo wcale się nie utrzymało, albo nie długo trwało, bo z wizyty w kilka lat potem dowiadujemy się, że w Łyskowie nie szkółka parafialna, zwyczajna, ale szkoła znowu o trzech była klasach.

W roku 1790 wizytatorowi, X. Janowi Erdmanowi, prorektor wołkowyski donosił, że szkoły łyskowskie podzielone na trzy klasy: w I., infimą zwanej, uczy dyrektor świecki, mający *kondycyę* w mieście, w II., gramatyki miano noszącej, wykłada też świecki dyrektor, również *kondycyą* w mieście zajęty, w III., retoryce, uczy X. Misyonarz, razem szkół prefekt; Uczniów — blisko 70; Superyor ówczesny, X. Dmochowski, oświadczył, że chciałby, aby tam dalej tym sposobem nie uczono (pragnął jakichś modyfikacyj?); dziedzic łyskowski, Bychowiec, marszałek wołkowyski, utrzymywał te szkoły i starał się, tak dalej pisze ów prorektor, aby Komisya Edukacyjna uznała je za akademickie.

Zapewne, w tymże składzie i porządku istniały tutaj szkoły do upadku kraju, a może i potem jeszcze.

---

[1]) I ta wizyta wzięta z Muzeum XX. Czartoryskich.

[2]) W Wołkowysku, niegdyś województwie nowogródzkiem, teraz w gubernii grodzińskiej, naprzód nauczali OO. Jezuici od połowy XVIII. wieku; potem Komisya Edukacyjna urządziła tam szkoły akademickie podwydziałowe, które trwały do r. 1796.

Nowy rząd oficyalnie zatwierdził je w sierpniu 1797 roku [1]), za przyłożeniem sie do tego dziedziców łyskowskich, Bychowców, a przy współudziale Zgromadzenia XX. Misyonarzy. Pierwszej wizyty szkolnej dokonał X. Ignacy Buchowiecki, kanonik inflancki, na początku roku następnego, zastawszy tam uczniów 63; lecz więcej mamy szczegółów o tych szkołach z raportu prefekta, złożonego przy końcu roku szkolnego dnia $^{16}/_{27}$ lipca 1798 roku [2]), z którego czerpiemy te wiadomości.

Uczniów w klasie wstępnej, proformą zwanej, 6, w klasie I. — 32, w II. — 12 = 50; dozorców domowych 4; kurs w każdej klasie dwuletni; Wiek uczniów w klasie I. od 10 do 18 lat, w II. od 12 do 17. Ucząca się młodzież przeważnie — *minorum gentium:* Jelscy zaznaczeni jako podkomorzyce wołkowyscy, a Bułhak — cześnikowicz słonimski, a to zaledwo różni sędzice, komornikowicze, znaczna zaś większość — bez żadnych tytułów, drobiazg szlachecki.

Stopnie dawano takie: z obyczajów — stateczne, niestateczne, krąbrne, płoche; pilność i postępy w naukach — nadmierne, dobre, mierne, małe, żadne; stopnie w klasie I. i II. zaznaczano z takich nauk: z łaciny, arytmetyki, nauki moralnej i kaligrafii (formowanie charakteru), chociaż jeszcze uczono wtedy geografii i historyi; katechizm, według przepisów Komisyi Edukacyjnej, zostawał poza programem naukowym i wykładano go niejako prywatnie w dni niedzielne i świąteczne. Owo rozporządzenie Kom. Eduk. pokutowało długo jeszcze, nawet po zniknięciu tej instytucyi.

W klasie I. obyczaje 6 miało płoche, 3 niestateczne, a reszta — stateczne; pilności 5 małej, 8 miernej, 6 nadmiernej, reszta dobrej. W klasie II. — 4 obyczaje płoche, reszta stateczne; pilność u wszystkich mierna.

W naukach stopnie kl. I. z łaciny; 16 małe, 8 nadmierne, reszta mierne i dobre; z arytmetyki: 16 małe, 7

---

[1]) Sbornik materjałow dla istorii proswieszczenia, Petersburg 1893, tom I. p. 223.

[2]) Raport ten w Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

nadmierne, reszta — mierne i dobre; z nauki moralnej: 12 małe, 4 nadmierne, reszta — dobre i mierne; z kaligrafii: 9 małe, 6 nadmierne, reszta mierne i dobre.

W kl. II. z łaciny: 6 małe, 1 nadmierne, reszta — mierne; z arytmetyki: 3 małe, 7 dobre, 2 mierne; z nauki moralnej: 5 małe, 5 mierne, 2 dobre; z kaligrafii: 6 małe, 2 nadmierne, 4 mierne.

W klasie wstępnej, gdzie uczono czytać, pisać i arytmetyki, wszyscy byli obyczajów statecznych, pilności miernej, z arytmetyki wszyscy mieli stopień mały, z innych nauk — mierny.

Na „experymencie“ publicznym odznaczyli się:

Z klasy I.: 1) Józef Jelski (lat 15), 2) Wincenty Kołłupajło, 3) Szymon Kołłupajło, 4) Ferdynand Szczygielski, 5) Jan Kubko, 6) Jan Radziwiłłowicz, 7) Karol Jodkowski, 8) Jan Iwanowski, 9) Bazyli Aresztowicz.

Z klasy II.: 1) Klemens Pietraszewski, 2) Bernard Pietraszewski, 3) Marcin Pławski, 4) Feliks Kurniewicz, 5) Mikołaj Niemira, 6) Józef Sieleźniewski, 7) Jan Zińkowicz, 8) Ignacy Bułhak, 9) Jan Chocewicz.

Przełożonym i prefektem szkoły był wtedy X. Konstanty Dąbkowski; nauczycielami: kleryk Paweł Jachimowicz, kleryk Jakób Jankowski i X. Józef Kowalewski, wszyscy ze Zgromadzenia XX. Misyonarzy.

Raport szkolny z 1799 roku dnia $\frac{10.\ \text{sierpnia}}{30.\ \text{lipca}}$ [1]) opiewa.

Uczniów w klasie I. pierwszoletnich 36, drugoletnich 7=43, w II. na pierwszym roku 7, na drugim 3=10, summa summarum 53; o klasie wstępnej nie powiedziano.

Na „experymencie popisywali się“.

Z klasy I.: 1) Wincenty Kołłupayłło, 2) Szymon Kołłupayłło, 3) Antoni Stocki, 4) Bazyli Kolendowski, 5) Jan Iwanowski, 6) Józef Kolendowski, 7) Bonawentura Kiersnowski, 8) Feliks Cejzik, 9) Jan Budziłłowicz.

---

[1]) Toż w Muzeum XX. Czartoryskich.

Z klasy II.: 1) Wincenty Jankowski, 2) Klemens Pietraszewski, 3) Ignacy Kołłupayłło, 4) Feliks Kurniewicz, 5) Jan Chocewicz.

Obyczaje w klasie I. dwóch krąbrne, innych stateczne; pilność — przeważnie mierna (dwóch — małej). Z łaciny — 16. stopień mały, 1. nadmierny, reszta — miernych. Z arytmetyki — 13. mały, 4. nadmierny, reszta miernych. Z nauki moralnej — 5. mały, 4. nadmierny, reszta — miernych Z kaligrafii: 2. mały, reszta miernych.

W klasie II. z obyczajami statecznymi 8., płochych 2.; pilność wszystkich mierna. Stopnie z łaciny: 3. nadmierne, 3. małe, 4. mierne; z arytmetyki: wszyscy miernego stopnia; z nauki moralnej — też wszyscy mierni, z kaligrafii — wszyscy mierni.

Na czele szkoły stał tenże X. Konstanty Dąbkowski, a uczyli: X. Kazimierz Tomaszewski, tenże sam, co pierwej, Jakób Jankowski, kleryk Szymon Lebiedziński i p. Paweł Hoppen wykładał język francuski. Na początek roku szkolnego we wrześniu (1799) zebrało się uczniów 65, ale potem ilość ich doszła do 88; z tego ze szlachty 80, ze stanu duchownego (synów kapłanów unickich) 2, ze stanu mieszczańskiego 3, kupieckiego 2, włościanin 1.

Dozorców domowych, t. z. dyrektorów, 7.

(Dokończenie nastąpi.)

Smora.

Ze stolicy Chin.

Napisał Ks. Dr Schmidlin, profesor uniwersytetu w Monasterze [1]).

Pekin czyli stołeczne miasto Północy — ileż otacza je pomników czysto rodzimej, chińskiej przeszłości; ileż ich jest wokół tych murów, basztami najeżonych, jakież koleje przechodziło to miasto, jądro jego i jego nazwa! W XII. w. przed Chr. zwane Tsi, w V. Jen, w VII. po Chr. Joczo, w X. Nanking, w XII. Czungtu, w XIII. Tatu albo Kambalik, wtedy zawitali do niego europejscy misyonarze, Franciszkanie, posłowie papiescy do książąt mongolskich, po strąceniu których nosiło w XIV. w. nazwę Pepingfu, a wkrótce potem Pekinem się przezwało, jak je też i OO. Jezuici na mapach z w. XVII. oznaczyli. Dziś — cień minionej świetności, ruina, zbiór nędznych lepianek, pustynia, labirynt wymarłych bram i okopów, zda się trupem, a przecie kryje w swem wnętrzu i zagłębiu niesłychane mnóstwo mieszkańców, 1,300.000 ludzi, i patrzeć tylko, a raz wraz zabłysną to złotem kapiące, różnowzorzyste łuki tryumfów, pałace, świątynie, to wzrok uderzą ciężko ładowne wielbłądów i koni karawany. Pekin doby obecnej, po rozmieszczeniu się w nim nowoutworzonego rządu, stoi wysoko, powaga jego i znaczenie rośnie, to prawda, lecz niemniej Pekin przeznaczony jest na zagładę, na zdjęcie zeń korony, którą dotychczas nosił: nie wiele czasu upłynie, a środek ciężkości państwowej przesunie się na południe.

---

[1]) Szczegóły te tłómaczono z *Kölnische Volkszeitung*, z dnia 14. maja b. r.

Chwilowo wszakże dąży jeszcze wszystko, a bodaj tylko świat rządowy, do stolicy, do starej siedziby cesarzów, urokiem dawnego panowania owianej, a potomek rewolucyi, przez nią wydźwignięty, otacza ją swoją opieką. Juanszikaj, t. j. Juan wiecznie zwycięzca, któremu się szczęście uśmiecha, któremu tysiące schlebiają, którego sam zdetronizowany dom cesarski zaszczytami obsypuje, z obawy przed skrytobójcami dniem i nocą wojskiem i tajną policyą otoczony, przez zastęp sprzedajnych pismaków i dziennikarzy za pogromcę bezrządu i odnowiciela porządku uznany, ten Juanszikaj nazywa się ciągle jeszcze prezydentem rzeczypospolitej chińskiej. W istocie istnieje tylko jej cień, lub wyrażając się z chińska, jej twarz. Chiny, jak mię zapewniła pewna wysoko postawiona osobistość w Pekinie, stoją pod znakiem dyktatury czy tyranii od tej chwili, jak Juanszikaj bezkarnie, nie wywołując żadnej trwałej reakcyi, rozesłał ciało prawodawcze, parlament, do domów. Bezwzględniej i samodzielniej niż którykolwiek monarcha kieruje losami Chin wszechpotężny ulubieniec chwili, bohater dnia, acz tymczasowo praca jego mierzy jeszcze do tego jedynie, aby się wzmacniać a przeciwników usuwać. Najbliższa przyszłość pokaże, czy mu się uda tę wątpliwą, zagmatwaną machinę publiczną opanować, na tory nowe pchnąć i nią kierować: jeden nagły zwrot w polityce może wytrącić go z równowagi.

A cóż przy tem wszystkiem z cywilizacyą europejską, cóż z katolicyzmem?! Jakie stanowisko względem tych dwóch czynników zajął Juanszikaj? Potęgom zachodu i ich kulturze okazuje się przychylny, bo im zawdzięcza swoje wyniesienie i chciałby ojczyźnie zapewnić korzyści Zachodu, jego cywilizacyi; sądzę przecie, że innyby obrót wzięły, znośniejszy i prędszy, naukowe i gospodarcze przedsięwzięcia w nowej republice, gdyby jej głowa poważniej i sprężyściej niemi się zaopiekowała. Pod względem religijnym, zdaje się, że do ostateczności chce posunąć swobodę wyznania, wywalczoną przez rewolucyę, na korzyść konfucyanizmu. Wprawdzie nie ogłosił jeszcze tej sekty religią państwową, powstrzymany

prawdopodobnie przez liczne prośby i podania ze strony chrześcijan, ale to, że niedawno właśnie zakazał urzędom pocztowym i telegraficznym przyjmować jakiekolwiek zażalenia przeciw konfucyanizmowi, nie może wpłynąć na nas uspokajająco. Zapewne pięknie to z jego strony, że gdy na instalacyę jego i na Nowy Rok przybył biskup Jarlin w galowym stroju biskupim i z krzyżem legii honorowej na piersiach, Juanszikaj przyjął go tuż po ciele dyplomatycznem i książętach domu cesarskiego, jako jedynego oficyalnego przedstawiciela z pośród wszystkich wyznań, — ale bądź co bądź zbyt wiele na to liczyć nie można, a to skutkiem przewagi, jakiej na dworze chińskim zażywa zwyczajnie pierwiastek czysto zewnętrznej ceremonialności. Toż powiedzieć można o szumnych przyjęciach innych książąt Kościoła w podróżach wizytacyjnych i misyjnych: łatwość składania oznak bezmyślnych leży w naturze poddanych jak i rządu.

Jakkolwiek rzeczy się mają, dumni być możemy, że Kościół katolicki tak godnie w stolicy Chin się przedstawia. Oprócz wyłącznie niemal dla Europejczyków przeznaczonego kościoła św. Michała w koncesyi, ze szkołą i szpitalem, znajdują się cztery bazyliki, położone w wręcz rozbieżnych kierunkach, wysokością i kształtem zdobiące miasto w wielkiej mierze: Duntgang, od wschodu, z przytułkiem dla starców; Sitang, od zachodu, z szkołą wyższą; Nangtang, na południu, ze szkołą parafialną i kolegium braci; wreszcie, na północy Petang, centrum wikaryatu. Z daleka widoczny, dwiema zdobny wieżami, skróś t. zw. cesarskiej dzielnicy, jest dziełem ks. biskupa Faviera, który go postawił na miejscu przez cesarzową wyznaczonem w zamian za dawny Petang, o czem świadczą osobne tablice pamiątkowe w pawilonach przed kościołem. W roku 1900, w czasie powstania Bokserów, w kościele przez ks. biskupa Faviera w r. 1887 zbudowanym, stawiło zacięty, kilkomiesięczny opór 4.000 chrześcijan z 30 żołnierzami francuskimi i 10 włoskimi. Mówi o tem kamień pod posągiem Najśw. Maryi P. z dnia 16. sierpnia 1900. W niedziele i święta odprawia się tu uroczyste nabo-

żeństwo: rozlegają się śpiewy, biskup siedzi na tronie, asystuje mu orszak księży, zdobnych w złotolite szaty! W cieniu kościoła, na obszernem podwórzu, w tem prawdziwem mieście śród miasta, przytykając do ogromnych zabudowań biskupa ze Zgromadzenia Misyi i jego konfratrów, mieści się Seminaryum duchowne, Małe Seminaryum, szkoła braci, szpital, dom sierot, nowicyat chińskich SS. Miłosierdzia, drukarnia misyjna i t. d.

Bawiąc przez cztery dni w gościnnym Petangu, nie mogłem pominąć czcigodnego miejsca spoczynku, starego cmentarza Szala, za miastem. Do niedawna jeszcze krył on szczątki dawnych Jezuitów, pionierów religii i cywilizacyi z w. XVII. i XVIII., lecz w r. 1900 uległ zniszczeniu przez Bokserów. Po przywróceniu pokoju obecny biskup rozkazał, by z największym pietyzmem pomniki znaczniejszych misyonarzy, takich jak Ricci, Schall, Verbiest i innych, odbudowano, a resztę, między nimi wiele niemieckich, wmurowano w zewnętrzną ścianę kościoła, gdzie też dziś widnieją, stanowiąc najcenniejszy dokument dziejów misyi. Kości zabitych chrześcijan złożono pod ołtarzem, nad którym zwisa kopuła. Pamiątkę po nich ma święcić sama świątynia. Gdzie spojrzysz, wszędzie zobaczysz na czarnym marmurze wyryte imiona 6000 męczenników, Misyonarzy, księży świeckich, Braci Marystów i żołnierzy. W związku z kościołem stoi dom centralny księży Misyonarzy oraz seminaryum i scholastykat dla kandydatów-chińczyków prowincyi północno-chińskiej; po drugiej stronie dom centralny i wychowawczy Braci Marystów. W małem oddaleniu leży cmentarz francuskich Jezuitów, którzy dopiero później tu przybyli celem zasilenia szeregów swych portugalskich współbraci.

Nie zaniedbałem oczywiście zwiedzić ważniejszych osobliwości stolicy Chin. Miasto ciąży dośrodkowo, w umiarowych czworobokach, otoczonych murem, do jądra, do „czerwonego zakazanego kwadratu“, w którym ciągle jeszcze przemieszkuje zdetronizowana rodzina cesarska, a wstęp cudzoziemcom jest wzbroniony Poza nim wije się szer-

szym już kręgiem „żółte“ miasto cesarskie, następnie „wewnętrzne“ miasto Mandżurów czyli Tatarów, pod koniec „zewnętrzne“ chińskie miasto, którego rodzimy charakter z dnia na dzień się zaciera. Na południowy-wschód miasta „wewnętrznego“ stoją w osobnym kwadracie, w zgodzie i zespole, tuż przy ministerstwach, poselstwa zagraniczne: Ameryki, Holandyi, Niemiec, Belgii, Francyi, Austro-Węgier, Hiszpanii, Japonii, Włoch, Rosyi, Anglii. Robią wrażenie twierdz, mają kasarnie, załogi, obecnie przy rewolucyi wzmocnione, są znakiem słabości rządu chińskiego.

W pobliżu poselstwa Niemiec znajduje się kasarnia im. Waldersee, niemiecki lazaret wojskowy, kwatera oficerów, poczta, bank itd Rzeź r. 1900 przypomina krzyż, postawiony w ogrodzie poselstwa, na pamiątkę zamordowanego posła, hr. Kettelera, a także łuk tryumfalny, wzniesiony kosztem rządu chińskiego jako zadośćuczynienie za zbrodnię przeciw prawu narodów, o czem wzmiankę samże łuk czyni w napisie. Sowy, smoki, żółwie i inne mityczne potwory raz wraz wynurzają się przed naszemi oczyma, czy na publicznych czy na prywatnych gmachach, a najwięcej spogląda ich na nas z dachu domostw. Zasługują pod tym względem na uwagę przedewszystkiem świątynie, od których miasto się roi.

Zwiedziłem naprzód największą i najpiękniejszą, świątynię niebios czyli ołtarz niebios, zwłaszcza, iż dowiedziałem się z gazet, że tam w Nowy Rok chcą złożyć imieniem państwa wołu w ofierze niebu. Tymczasem nikogo prawie na dziedzińcu nie znalazłem. Ja i mój towarzysz — oto czciciele bogów chińskich! Źle z nimi! Za to mogliśmy ich świątynię swobodnie przepatrzeć, zwłaszcza z śnieżnego marmuru, terasowatą, iście artystycznemi poręczami i słupkami zdobną śwątynię południa, a u jej stóp ołtarz całopałenia i kotły żelazne, sprawione przez ostatniego cesarza — naprzeciw zaś „świątynię północy“, której wnętrze służy za salę obrad dla komisyi konstytucyjnej, jak nas o tem krzesła przekonują. Obok świątynia uprawy pól. Tuż i pole, które pewnego pięknego wiosennego poranku sam cesarz jako i jego urzęd-

nicy własnoręcznie uprawiają. Przez łuk Kettelera i najdłuższą w Pekinie ulicę wiedzie droga do świątyni Lamy, kędy obok ciekawych młynów modlitwy, posągów i pomników mieści się statua Buddy-olbrzyma, 14 m. wysoka. Setki tybetańskich kapłanów, podeszłych wiekiem, szacownych z postaci, odprawia tam swoje modły i ofiary pod przewodnictwem opata. Potem oglądnąłem świątynię Konfucyusza, zawierającą tablice dusz mistrza i uczniów, oraz kamienie z opisem wypraw jakiegoś bajecznego króla oraz cesarzów w. XVIII., również płyty pomnikowe uczonych doktorów, którzy je fundowali po szczęśliwem rozwiązaniu swoich egzaminów; są tam klasycy: hala 9 klasyków, ma się rozumieć, chińskich i wykucie ich pism na białym marmurze. Obok „wieży bębnów i dzwonów“ wróciłem do Petangu.

Jako profesora uniw. musiały mię zająć miejsca nauki. Niestety zbrakło mi czasu na oglądnięcie „wielkich hal egzaminów“, w których wypracowywali z trudem swój doktorat chińscy studenci, jak i cesarskiego obserwatoryum, zaopatrzonego w kunsztowne przyrządy Jezuitów XVII. w., ogołoconego z nich przecie w r. 1900. Załoga wojskowa je zabrała. Znajdują się częściowo w Poczdamie. Również nie było mi danem zobaczyć chiński Wersal, założony przez Jezuitów w letniej rezydencyi cesarza na poł.-zachód od miasta. Zato jeden z docentów wtajemniczył mię w stan nauki uniwersytetu, tak iż wyrobiłem sobie wyobrażenie o tem, co rząd planował a co osiągnął. Wedle edyktów z r. 1902 i 1905 uniwersytet pekiński ma być szkołą na całe państwo najwyższą, ba, jedyną, ma być szczytem i koroną szkolnictwa chińskiego. Ośm wydziałów, każdy z dziekanem na czele, wszystkie poddane rektorowi, a każdy wydział w trzech sekcyach: angielskiej, francuskiej i niemieckiej, miały objąć całokształt wiedzy państw zachodnich. Tymczasem co? 300—400 młodzieży, studyującej początki języków, bez prawideł i karności — oto cały uniwersytet. Profesorowie, przeważnie cudzoziemcy: Niemcy, Francuzi, Anglicy i Amerykanie, częścią Chińczycy, za granicą wykształceni, pobierają pensye wysokie, których zgoła warci

nie są, nie mają powagi, swawola uczniów rządzi nimi samowładnie. Uniwersytet ten to pole walki o wpływ polityczny i językowy, to miejsce zbioru podejrzanych jednostek niewykształconych lub tępych. Brak sił profesorskich, brak materyału w formie studentów, a tak samo brak i zajęcia, któreby akademik kiedyś mógł zająć. Rząd ich nie daje. Tak więc cała historya i stan obecny uniwersytetu chińskiego przedstawia straszliwy obraz tej prawdy, że budynek, zwłaszcza jeśli daleko w górę ma się wznosić, powinien mieć w pierwszym rzędzie silną podstawę. Mniejsza o dach. Stawi się go później, gdy będzie na czem go kłaść.

Blask Pekinu blednie z każdą chwilą wobec rosnącej przewagi portowego i handlowego miasta na wschodzie, miasta Tientsin, które już 800.000 mieszkańców liczy. W koncesyach europejskich, wśród których niemiecka jest najładniejsza i mieści pomnik zabitych r. 1900, mamy dzielnicę wręcz europejską, w ścisłem tego słowa znaczeniu, wielkie miasto.

Dzielnica chińska czworoboczna, dawniej obmurowana, urasta z każdą chwilą w nowe przedsiębiorstwa i hotele. Co więcej, księża Misyonarze budują obecnie przy swojej prokurze i kościele św. Ludwika, w czworoboku francuskim, katedrę, seminaryum, szpital dla nowego wikaryatu świeżo odłączonego od Pekinu. Duszą tej pracy jest ks. Lebbe, Flamand, równie gorliwy jak sprężysty, światły jak postępowy Misyonarz. Jego zasługą jest, że Tientsin stoi prawie na czele organizacyi i prasy. On to doprowadził do skutku unię czyli akcyę katolicką, nadto na spółkę z wydawcą katolickim prowadzi rozgałęzioną szeroko gazetę bezpartyjną, tygodnik katolicki bardzo poczytny. Pisze także rozprawy treści apologetycznej, daje kursy społeczne itd. itd.

Ludność północy jest wogóle spokojniejsza, poważniejsza, zimniejsza, powolniejsza, wytrwalsza, skorsza do czynu, pojętniejsza, lecz materyalnie biedniejsza niż na południu. O konserwatyzmie świadczą warkocze mężczyzn, zaplot włosów kobiecych i ich kalekie stopy. Plagą jest tu rozbójnictwo, dowód słabej milicyi. Miesiącami grasują ich bandy, przed

któremi niekiedy misyonarze samych mandarynów zastawiać muszą. Mimo to opinia publiczna, przychylna chrześcijaństwu po strąceniu cesarza z tronu, teraz zwraca się ku konfucyanizmowi. Z rosnącym zapałem odbudowują wieśniacy pagody, z których niejedną już zamienili byli na cześć chrześcijańskich misyonarzy, np. księdza Liu, z powodu cudów i uleczeń w Pekinie i Paotingfu.

Czeli dzieli się pod względem kościelnym na sześć wikaryatów, z których 4 należą do Księży Misyonarzy francuskich, jeden (wschód) do holenderskich, ostatni (połudn.-wschód) do Jezuitów. Statystyka z r. 1913 podaje liczbę katolików tej prowincyi na 411.556, więc $^1/_3$ wszystkich katolików chińskich. Z tego wikaryat Pekiński liczy 133.515 ($3^0/_0$ ludności całej prowincyi, Pekin 8.500), misye jezuickie 85.618, Paotingfu 84.196, Czentingfu 62.014. Przyrost wynosi w samym Pekinie 36.740, Paotingfu 9.918, Czengtingfu 1.414, u Jezuitów 2.530: różnice wypływają po części z odrębności materyału tubylczego, po części z metody nauczania, czemu też przypisać należy tłumne nawrócenia Pekińczyków. Jednak i tu nawet w stolicy, siły misyjne, 145 europejskich, 131 chińskich księży, 1.740 kościołów i kaplic w rozproszeniu, nie stoją na poziomie ciągle przybierających wymogów.

Księża Misyonarze na Filipinach.

(Cfr. *Annales* z r. 1913, 3 i 1914, 1).

Było to życzeniem królowej hiszpańskiej Izabelli II. i jej rządu, żeby seminarya duchowne na Filipinach przeszły pod zarząd dobrze zasłużonego w Hiszpanii Zgromadzenia XX. Misyonarzy, a szpitale oraz zakłady dobroczynne i wychowawcze pod opiekę SS. Miłosierdzia. Odnośny dekret królewski wydano już w r. 1852. Pragnienia te jednak spełniły się dopiero po latach dziesięciu.

Ks. Grzegórz Meliton y Martinez, od września 1861 zasiadający na stolicy metropolitalnej w Manili, był główną sprężyną w sprowadzeniu obydwu rodzin św. Wincentego. Wiedząc o tem, jak bardzo zależy na tem Stolicy św., a zarazem rządowi hiszpańskiemu, poczynił odpowiednie kroki tak u rządu jak i u nuncyusza apostolskiego, ks. Brunelli, a następnie zwrócił się do przełożonych Zgromadzenia. Ówczesny wizytator hiszpański, ks. Ramon Sanz, przyjął propozycyę arcybiskupa. Zgodził się też na to, by do grupy wysyłanych Misyonarzy należał ks. Grzegórz Velasco, przyjaciel arcybiskupa od ławy szkolnej w seminaryum duchownem, który przed wstąpieniem do Zgromadzenia zajmował wysokie stanowisko przy katedrze w Burgos.

W dniu 5 marca 1862 wsiadł więc na okręt w Cadix ks. Velasco wraz z ks. Moral i dwoma braćmi oraz piętnastu Siostrami Miłosierdzia. Po przeszło czterechmiesięcznej żegludze morskiej zawinęli szczęśliwie do portu, dnia 22 lipca, witani w Manili przez wszystkie warstwy ludności z ogrom-

nym entuzyazmem. Najserdeczniej przyjął ich sam arcybiskup, a także gubernator hiszpański oraz Towarzystwo św. Wincentego a Paulo. Gubernator, wsławiony poprzednio we wojnie w Afryce, generał Echague, żywił głęboką cześć dla SS. Miłosierdzia, na których bohaterskie poświęcenie patrzał własnemi oczyma w czasie ostatniej kampanii. To też otaczał je troskliwą opieką i wszystkie niemal zależne od rządu zakłady oddał im w zarząd.

Arcybiskup Meliton oddał seminaryum w Manili Misyonarzom w zarząd, w dwa tygodnie po ich przyjeździe, a na biskupów w swej prowincyi użył całego swego wpływu, by poszli w jego ślady. Pierwszy poszedł za tym przykładem biskup Gainza, światły i gorliwy syn św. Dominika. Objąwszy rządy dyecezyi Nueva Caceres w roku 1863, sprowadził natychmiast Misyonarzy do swego seminaryum, które, jak wszystkie na Filipinach, było w opłakanym stanie, tak pod względem intellektualnym, jak pod względem ekonomicznym, a zwłaszcza moralnym. Zakład ten objęli w zarząd w dniu 9 maja 1865 księża Moral, Santonja i Serralonga. Do pomocy mieli brata Del Rio. Rektorem został ks. Moral, a gdy w r. 1868 wysłano go dla zorganizowania seminaryum w Jaro, następcą jego został ks. Santonja, kochany i ceniony przez wszystkich, a zwłaszcza przez biskupa, którego był spowiednikiem i głównym doradcą. Dzisiaj jest tam rektorem ks. Godfryd Peces.

W roku 1866 wezwał biskup Jimenes, także dominikanin, Misyonarzy do dyecezyi Cebu. Seminaryum tamtejsze tak podupadło, zwłaszcza pod względem moralnego wyrobienia, że księża Casarramona, Potellas i Gabino Lopez, którzy je objęli w lutym 1867, nadzwyczajnych musieli zażyć przykrości i trudów, nim zdołali przeprowadzić jakąś reformę. Silna ręka oraz prawość charakteru ks. Cassaramony spowodowały wkrótce znaczny postęp ku dobremu. Po nim objął urząd rektora ks. Farré w roku 1871, potem ks. Jarero w r. 1880, a wreszcie w roku 1889 ks. Julia. Obecnym przełożonym jest ks. Piotr Angulo.

Następną placówką pracy misyonarskiej było seminaryum w Jaro. Pierwszy biskup nowo powstałej w r. 1865 dyecezyi, ks. Cuartero z zakonu kaznodziejskiego, sprowadził księży Misyonarzy w r. 1869. Księża Moral, Anicet Gonzalez i Jan Jaume, przeznaczeni na tę pracę, zamieszkali zrazu w pałacu biskupim, zanim zbudowano gmach seminaryjny. Superyorem domu i rektorem seminaryum był ks. Moral, a po nim kolejno księża Gonzalez, Serralonga, Miralda, Perez, Vierra i Napal, który do dziś sprawuje ten urząd.

Seminaryum duchowne w Nueva Segovia powierzył Zgromadzeniu biskup Jan Aragones w r. 1872. Ostatnie to z rzędu seminaryum było w ręku księży Misyonarzy zaledwo lat cztery, gdyż następny biskup, ks. Cuartero nie chciał uznać niektórych przywilejów Zgromadzenia. W roku zatem 1876 opuścili ten zakład księża Recoder, Vigata, Micamala, Vila i Santandreu. Pierwszym rektorem w Nueva Segovia był ks. Moral, który poprzednio znakomicie zorganizował seminarya w Jaro i w Nueva Caceres, miał bowiem szczęśliwą rękę pod tym względem.

Tensam los co seminaryum w Nueva Segovia spotkał później dom św. Karola w Manili w r. 1899. Dzieło arcybiskupa Meliton y Martinez przetrwało szczęśliwie przez lat 37. Z powodu zamieszek rewolucyjnych po objęciu wysp przez Stany Zjednoczone, opuściło Zgromadzenie ten posterunek. Imię wszakże św. Wincentego a Paulo trwało nadal żywo w pamięci duchowieństwa archidyecezyi. To też gdy w roku 1903 organizowano na nowo seminaryum w Manili, gorąco pragnęli wszyscy powrotu dawnych wychowawców kleru. Seminaryum jednakże oddano wtedy OO. Jezuitom, którzy pozostali tam przez lat dziesięć. Obecny arcybiskup, ks. Harty, podjął znowu myśl sprowadzenia księży Misyonarzy i przedłożył ją w Rzymie w r. 1907, z okazyi podróży *ad limina*. Zamiar zaś ten wykonał dnia 20 maja 1913 r. Zakład ten znajduje się poza miastem, w miejscowości Manalayon, o 5 klm. odległej od Manili. Liczy obecnie 50 seminarzystów. W tych samych zabudowaniach urządzono nadto kolegium,

w którem kształci się do czterdziestu wychowanków internatu, oraz drugie tyle uczniów dochodzących.

Zgromadzenie otrzymało nadto na Filipinach w r. 1905 zarząd kolegium w Calbayog, na wyspie Samar, a w roku 1910 seminaryum tamtejsze. W Jagna, na wyspie Bohol, osiedlili się księża Misyonarze w r. 1911, na prośbę tamtejszego biskupa, który pragnął ich mieć dla pracy misyjnej, a utrzymanie przyrzekł sam dawać z funduszów seminaryjnych. Oprócz tego biskup nowo utworzonej dyecezyi Lipia zamierza obecnie oddać Zgromadzeniu swoje seminaryum duchowne.

W seminaryach na Filipinach wykładano dawniej tylko nauki teologiczne i humaniora. Obecnie tworzą wszędzie przy tych seminaryach kolegia, w których konwiktorzy wraz z eksternistami przechodzą cały kurs szkoły średniej. Wielkie stąd płyną korzyści dla utrzymania samych seminaryów.

Liczba byłych uczniów tych zakładów misyonarskich wykazuje już pokaźną cyfrę 16.000, z których 700 jest kapłanami, a 400 osiągnęło stopnie naukowe. Trzech prałatów oraz znaczna liczba działaczy, tak na polu politycznem jak i naukowem, stanowi chlubny rezultat pracy wychowawczej księży Misyonarzy na Filipinach.

Domem centralnym prowincyi jest od roku 1891 San Marcelino pod Manilą. Był to dawniej dom wakacyjny dla księży i seminarzystów, zbudowany na obszernej realności poza miastem, zakupionej za bezcen w r. 1877, a dzisiaj mającej ogromną wartość dla tego, że z czasem przesunął się w to miejsce centralny punkt rozrastającego się miasta. Obecnym wizytatorem i superyorem domu zarazem jest ks. Anioł Martinez.

Od roku 1862 przybyło dotychczas na Filipiny 124 księży i 33 braci Zgromadzenia. Obecnie, po latach pięćdziesięciu pracuje 49 księży, 4 kleryków oraz 9 braci w siedmiu następujących domach: San Marcelino pod Manilą (dom centralny), seminaryum św. Karola w Manili, seminaryum w Nueva Caceres, seminaryum św. Karola na Cebu, seminaryum

św. Wincentego a Paulo w Calbayog, seminaryum św. Wincentego Fereryusza w Jaro, dom misyjny w Jagna.

* * *

Równie pomyślnie rozwijają się domy SS. Miłosierdzia na Filipinach. Wspomniano wyżej o troskliwej opiece, jaką otaczał Siostry gubernator hiszpański zaraz po ich przybyciu na archipelag. W r. 1868 sprowadził je biskup Gainza do Nueva Caceres, zbudował dla nich zakład żeński i powierzył naukę w miejskiej szkole. Zabiegami swymi wyrobił im po czterech latach dekret królewski, na mocy którego miały utworzyć w Nueva Caceres wyższą szkołę żeńską.

W roku 1872 powierzono Siostrom szkołę w Iloilo, na wyspie Panay, przeniesioną w cztery lata potem do Jaro. Na Cebu osiedliły się Siostry Miłosierdzia dopiero w r. 1895. Istniało tam Zgromadzenie żeńskie, założone w r. 1877 przez ks. Lacanal, Misyonarza. Zrobiło ono dużo dobrego na Filipinach.Ks. Lacanal powziął zamiar złączenia go ze Zgromadzeniem SS. Miłosierdzia. Usiłowania jego poparł gorąco ks. Arnaiz, wizytując z ramienia O. Generała domy XX. Misyonarzy i SS. Miłosierdzia na Filipinach. Śmierć ks. Lacanal w roku 1894 nie pozwoliła mu doczekać się spełnienia jego pragnień. Zjednoczenie jego zakonnic z SS. Miłosierdzia dokonało się w styczniu roku 1895.

Obecnie posiadają Siostry na Filipinach liczne zakłady, z których najważniejsze są: Zakład św. Elżbiety w Manili, powstały w roku 1868 z daru znakomitej dobrodziejki, Małgorzaty Rosas; szpital św. Jana Bożego w Manili, oddany Siostrom w r. 1869; szpital morski w Cavite od roku 1876, drugi szpital w temże mieście od r. 1885; przytulisko dla biednych dzieci pod wezwaniem św. Wincentego w Looban, założone w r. 1885 z daru jednej z Sióstr Miłosierdzia. Praca Sióstr w szkołach wydała obfite wyniki. 36.000 dziewcząt otrzymało wzkształcenie w ich zakładach, a z tego 3000 bezpłatnie. Wydatną także jest ich praca w ratowaniu wszelakiej nędzy i w posługach niesionych chorym. Wszystkich

Sióstr przybyło na Filipiny od 1862 roku 395, dzisiaj liczą ich około 180.

* * *

Pięćdziesięciolecie pobytu na Filipinach święciły obydwie rodziny św. Wincentego w r. 1912 skromnym obchodem. Obok tego jednak miała ta chwila upamiętnić się na zawsze, raz przez wydanie bogato ilustrowanej historyi obydwóch Zgromadzeń na Filipinach[1]), a nadto przez wystawienie okazałej świątyni ku czci św. Założyciela, której konsekracyę, dokonaną dnia 16 lipca 1913 roku, opisuje O. Generał w okólniku noworocznym w następujących słowach:

„Konfratrzy na Filipinach obchodzili uroczyście pięćdziesięcioletni jubileusz pobytu swego i pracy w tym kraju. Dla wyrażenia publicznie swej wdzięczności wystawili w Manili wspaniały kościół pod wezwaniem św. Wincentego. Ksiądz Guilloux, wizytator chiński, nasz reprezentant, zaproszony wraz z ks. biskupem Reynaud na tę uroczystość, pisze do mnie w te słowa:

„Byliśmy zachwyceni tem, cośmy widzieli i słyszeli. Uroczystość odbyła się wspaniale, tak u Konfratrów jak i u Sióstr. Siedmiu biskupów wzięło w niej udział, oraz mnóstwo zakonników z Manili i księży świeckich z różnych dyecezyi. Sądzę, że pióro wprawniejsze opisze dokładniej to zdarzenie. Najbardziej uderzyło nas i zbudowało przywiązanie do rodzin św. Wincentego, tak u Konfratrów jak i u Sióstr; we wszystkich domach i kaplicach napotyka się dowody czci i przywiązania do tego, co stanowi chlubę Zgromadzenia. Dzieła wszystkie są w kwitnącym stanie, a zdaje się, że coraz bardziej rozwijać się będą w przyszłości. Losy katolicyzmu w tym kraju zależą w znacznej mierze od seminaryów duchownych, powierzonych w główniejszych dye-

---

[1]) *Los Padres Paules y las Hijas de la Caridad en Filipinas, 1862 — 1912. Breve rasegna historica por un sacerdote de la Congregacion de la Mision.* — Manila, 1912. Stron VII + 434.

cezyach kierownictwu Konfratrów, najbardziej bowiem daje się na Filipinach odczuć brak dostatecznej liczby gorliwego duchowieństwa, któreby ludność mogło utrzymać w należytem uświadomieniu religijnem. Mam wrażenie, że na ogół stoją Konfratrzy na wysokości swego zadania i że cieszą się zaufaniem biskupów, jakoteż duchowieństwa i wiernych".

Szczegóły te uzupełnia jeszcze w swym opisie ks. Brunon Saiz, misyonarz pracujący na Filipinach. W uroczystej konsekracyi kościoła dnia 16 lipca oraz w uroczystem tryduum ku czci św. Wincentego, w dniach 17, 18 i 19 lipca, wzięło udział sześciu biskupów filipińskich: ks. Harty, arcybiskup Manili; ks. Petrelli, biskup w Lipii; ks. Mac Ginley, biskup w Nueva Caceres; ks. Singzon, biskup w Calbayog; ks. Gorordo, biskup w Cebu i ks. Foley, biskup w Anguegarao. Biskupa z Jaro zastępował administrator tej dyecezyi ks Santiago Mac Clotkey. Przybyło nadto około 50 księży z archidyecezyi Manili oraz reprezentanci innych dyecezyi archipelagu. Konsekracyi dokonał ks. biskup Reynaud, Misyonarz, wikaryusz apostolski we wschodniem Kiangsi w Chinach.

Pamiętne te obchody zdają się wróżyć Zgromadzeniu na Filipinach pomyślną przyszłość, po kilkoletnich obawach, jakie tamtejsi Misyonarze przeżyli z okazyi przejścia archipelagu z pod rządów hiszpańskich pod władzę Stanów Zjednoczonych.



KRONIKA.

Z PROWINCYJ POLSKICH.

Dwie misye w Hamburgu. — Wszędzie chętnie spieszymy na misye, dokądkolwiek nas wzywają, bo to cel i zadanie nasze, to racya istnienia naszego jako Zgromadzenia, ale tem chętniej spieszymy tam, gdzie większa potrzeba misyi. Hamburską Polonię i straszne jej opuszczenie pod względem religijnym poznaliśmy już w poprzednich latach z okazyi pastoracyi wśród wychodźców w dyecezyi hildesheimskiej. Nie mogliśmy jednakże wtedy nic dla nich zrobić, bo hamburscy katolicy innej jurysdykcyi kościelnej podlegają; jestto terytoryum misyi północnych, należące do biskupa w Osnabryku. X. biskup Hubert Voss, starzec 74-letni w jednej osobie był biskupem dyecezyi Osnabrück, prowikaryuszem apostolskim dla północnych misyi niemieckich i administratorem prefektury apostolskiej Szlezwiku i Holsztynu.

Do północnych misyi niemieckich (Missiones septemtrionales Germaniae) stanowiących odrębny wikaryat apostolski należy: 1) Brema z 23.000 katolików, 12.000 Polaków i 12 księżmi, 2) Hamburg z 50.000 katolików, 14.000 Polaków (razem z Wilhelmsburgiem 22.000) i 26 księżmi, 3) Lubeka z 5.000 katolików, 2.000 Polaków i 4 księżmi, 4) księstwo Oldenburskie z 1.200 katolików z 200 Polakami i 4 księżmi, 5) wielkie księstwo Meklenbursko-szweryńskie, 6) w. ks. Meklembursko-strzeleckie i 7) księstwo Schaumburg-Lippe.

Nas obchodzi Hamburg. Dla swoich 50.000 katolików, rozsianych wśród przeszło półmilionowej ludności innowierczej,

ma on 6 parafii. Każda z nich ma pewną liczbę Polaków. Najwięcej ich jednak w dwu parafiach: w parafii św. Ansgara (która znana też jest pod historyczną nazwą „kleine Michaeliskirche“) i w parafii św. Józefa. Do tych dwu kościołów wezwano nas celem dawania misyi dla naszych wychodźców.

Wyjechaliśmy we czterech z Krakowa 23. grudnia 1913, a przenocowawszy w Berlinie dostaliśmy się do Hamburga w samą wigilię Bożego Narodzenia. X. Gerhard Wilken, który przed 10 laty bawił przez parę miesięcy u nas na Stradomiu dla wyuczenia się języka polskiego, oczekiwał nas na dworcu głównym. Tu też już rozstaliśmy się na cały tydzień pracy; X. Dudek i X. Witaszek pojechali do kościoła św. Michała w śródmieściu, a X. Paszyna i ja z X. Wilkenem do dzielnicy Rotenburgsort Bullenhuserdamm, do kościoła św. Józefa.

Misye nasze trwały przez 8 dni i odbywały się równocześnie w obydwu kościołach. Wybrano porę zimową dlatego, że wtedy robót polnych niema, niema więc i wychodźców sezonowych w okolicy; pozostają sami Polacy już od kilku lat osiedli, a o tych właśnie idzie przedewszystkiem, bo oni nawykli już do zepsucia wielkomiejskiego i z niem się zżyli, stronią od kościoła i w praktykach religijnych się zaniedbali. Wybrano zaś specyalnie czas od 24. grudnia do 1. stycznia dlatego, że to czas, w którym fabryki i warsztaty największe nawet zawieszają roboty, a w nich właśnie pracują Polacy; w żadnej innej porze roku nie mają tylu dni wolnych, co w ostatnim tygodniu grudnia.

Inicyatywę misyi dla Polaków w Hamburgu osiadłych zawdzięczamy X. Wilkenowi. Od kilku lat już nosił się z myślą, żeby Polakom hamburskim przyjść z pomocą w sprawie zbawienia duszy za pomocą misyi. Nie chcieli niemieccy księża uznać racyi w jego żądaniu. Zdawało im się, że wszyscy Polacy hamburscy władają na tyle językiem niemieckim, że doskonale rozumieją ich kazania i do spowiedzi do nich mogą chodzić; wszyscy pochodzą z W. Ks. Poznańskiego, ze Ślązka lub z Prus Zachodnich, a misye osobne

dla nich utwierdziłyby ich tylko w separatystycznych dążnościach, nawet w kościele. Wreszcie jednakże ustąpili wobec nalegań X. Wilkena i zgodzili się na polskie misye w dwu kościołach. Zgodził się na nie i X biskup H. Voss pod tym jednakże warunkiem, że będą to Misyonarze, za których X. Wilken musi ręczyć, że nie użyją misyi jako środka do pogłębienia nieporozumień nacyonalistycznych. Wkrótce rzecz była umówiona, razem z X. Antoszem, termin oznaczono, a jako Zgromadzenie misyjne, za które mógł X. Wilken w całej pełni wziąć odpowiedzialność w zastrzeżeniach X. biskupa, przypomniał sobie tych, których w pamięci zachował od czasu pobytu w Krakowie.

Przygotowanie do misyi i tutaj polegało na tem, że poprosiłem, aby już parę tygodni przed misyą tak w kościele św. Józefa jak i w kościele św. Michała ogłaszano termin misyi a oprócz tego odmawiano pewne modlitwy w celu uproszenia łask Bożych. Pozakościelną agitacyę przeprowadzili obaj księża w ten sposób, że kazali plakaty drukować i porozsyłali je częścią przez dzieci szkolne częścią przez pocztę do wszystkich hamburskich Polaków.

Początek misyi naznaczyli na 25. grudnia, w kościele św. Józefa po sumie, w kościele św. Ansgara po południu o godzinie 4. Wogóle przez cały czas trwania misyi nie można było urządzać się w kościele św. Ansgara z tą swobodą, co w parafii św. Józefa. Dla kazań polskich i dla nabożeństw misyjnych pozostawił nam proboszcz parafii św. Ansgara X. Dinkgrefe tylko czas popołudniowy ze względu na stałe godziny nabożeństw niemieckich przed południem; tak, że do południa można było tylko w konfesyonale pracować. Natomiast X. Wilken pozostawił nam w swoim kościele najzupełniejszą swobodę, tak że mogliśmy dziennie czterokrotnie głosić kazania.

Oprócz zwyczajnych prawd chrześcijańskich musieliśmy w kazaniach poruszać tematy w ich warunkach ważne.

W pierwszym rzędzie ich wiara narażona na każdym kroku, bo gdziekolwiek będą, wszędzie znajdą się w otocze-

niu innowierców, socyalistów lub ateuszów; stąd też potrzeba umacniania tej wiary. W ogromnem niebezpieczeństwie życie rodzinne; łatwość ślubów cywilnych w wypadkach, w których Kościół odmawia ślubu, możliwość rozwodów, a wreszcie małżeństwa z innowiercami rozluźniają bardzo węzły rodzinne; musieliśmy więc usilnie nawoływać do ślubów kościelnych, do unikania znajomości i związków matrymonialnych z innowiercami i do trwania w raz zawartem małżeństwie. Jedni z Poznańskiego, inni z Prus Zachodnich, inni ze Ślązka, nieco także z Królestwa i z Galicyi, ale prowincyonalne upodobania i uprzedzenia u wszystkich tak silnie zakorzenione, że według pochodzenia dzielą się na partye wrogo się zwalczające; istnieje też 10 czy 11 towarzystw polskich, ale jedno z drugiem na wojennej stopie. Trzeba więc było Piotra Skargę przypomnieć i z całym naciskiem mówić „o drugiej chorobie rzeczypospolitej, która jest z niezgody domowej“. Na wychowanie domowe zwracaliśmy uwagę z tą prośbą, żeby przecież dbali więcej o dzieci, sami nie uczyli ich złego gorszącem życiem, nie dali im grzęznąć w zgniliźnie wielkomiejskiej i pomnażać liczby zbrodniarzy młodocianych, by pilnie posyłali je do szkoły, ale nie do symultannej tylko do wyznaniowej, katolickiej. Karciarstwo grasuje wśród mężczyzn; słyszałem o jednym, który przecież krwawo pracuje na grosz, a 860 marek marek przegrał w pół roku; musieliśmy wzywać do oszczędności. Przypominaliśmy im też, jak mają umierać po katolicku, jak przygotować chorego i mieszkanie na przybycie księdza z sakramentami św. i jak domagać się w razie choroby asekurowanego robotnika, ażeby nie do protestanckiego ale do katolickiego szpitala go przeniesiono.

Słuchali chętnie, tłumnie się garnęli. Kościół jeden i drugi przepełniony był podczas kazań zwłaszcza wieczorami. Liczbą imponowali Polacy nie tylko w kościele. Kiedy zbitemi masami wracali z kościoła do domu, z promiennemi twarzami, z iskrami Bożego zapału w oczach, patrzeli na nich zdziwieni protestanci Hamburga. Dla nich to obcy widok; sami zobojętnieli już dawno dla każdej religii, nie rozumieją, skąd

mogą się brać jeszcze takie tłumy wierzących, jak mogą tak długo trwać na kazaniach i nabożeństwach, jak można wogóle tak się zapalać do spraw religijnych.

We dnie i w nocy pracowaliśmy w konfesyonale. Byliśmy bowiem najzupełniej skazani na własne siły, nikt w spowiedziach nam nie dopomagał. X. Dudek i X. Witaszek wyspowiadali w przeciągu tego tygodnia po 700 penitentów, X. Paszyna miał ich 760, ja 1042. W kościele św. Michała było ich więc 1400, w kościele św. Józefa 1802. Komunia św. dochodziła w kościele św. Michała do 2000, w kościele św. Józefa wynosiła 3600. W nocy z 31. grudnia na 1. stycznia spowiadaliśmy aż do 2. godziny. Cały Hamburg był na nogach, nikt nie spał; o północy muzyką, śpiewami, ogniami bengalskimi, okrzykami z otwartych okien: „Prosit Neujahr“ witali rok nowy. Wycia i piekielna wrzawa z ulic dochodziły do kościoła, ale satysfakcyę nam to sprawiało, że Polacy nasi nie biorą udziału w tych orgiach. Chcąc im zostawić jakąś pamiątkę misyi, a równocześnie zapewnić opiekę Najświętszej Panny, rozdaliśmy pomiędzy nich medaliki cudowne w każdym kościele po 3000. Chcieliśmy także, aby nabożeństwo do św. Wincentego u Polaków się przyjęło i dlatego rozdawaliśmy obrazki św. Wincentego, według malowidła Konicza znajdującego się w bocznym ołtarzu na Stradomiu. Benedictio puerorum zgromadziła 610 dzieci w kościele św. Józefa. Do owoców tych misyi dodam jeszcze i to, że małżeństw dzikich naprawiliśmy sześć, a ponadto chcąc im wytrącić z ręki pisma socyalistyczne zachęcaliśmy do prenumeraty „Przewodnika katolickiego“, dla którego zyskaliśmy 400 abonentów. *X. W. Szymbor.*

Wśród Polaków w dyecezyi hildesheimskiej. — *List ks. Paszyny do Przew. ks. Wizytatora, datowany w Wilhelmsburgu pod Hamburgiem dnia 14. kwietnia b. r.*

Dziś po raz pierwszy w czasie mojego pobytu w Wilhelmsburgu znajduję wolniejszą chwilkę czasu; toteż cieszę się, że przynajmniej garść wiadomości posłać mogę o mojej działalności wśród tutejszej Polonii. Wyjechawszy w piątek

3. kwietnia z Krakowa, stanąłem we Wrocławiu około godz. 10. w nocy i tutaj musiałem czekać 2 godziny na pociąg, mający mnie zawieźć do Berlina. Na dworcu tutaj spotkałem garstkę Rusinów, zdążających na robotę do Niemiec. Biedacy, nie wiedzieli sami, dokąd jadą i poco; toteż nie małe powstało między nimi zamieszanie, gdy we Wrocławiu konduktorowie przeglądnąwszy ich papiery (prawdopodobnie kontrakty, wręczone im przez agentów niemieckich), spostrzegli że za daleko przyjechali, bo mieli już wysiąść w Kędzierzynie. Dla biednych tułaczów nastały chwile rozpaczliwe: indagowani przez brutalnych konduktorów i popychani, tłumaczyli wśród płaczu po rusku, że nie znają drogi; konduktorowie zaś, nie rozumiejąc ich języka, miotali przekleństwa i wygrażali pięściami, a wreszcie nie wiedząc co począć, sprowadzili naczelnika stacyi, który także nie wiedział, jak wyjść z tego przykrego położenia. Zbliżyłem się wtedy do płaczących i porozumiałem się z Rusinami, o co chodzi, a następnie wytłumaczyłem naczelnikowi i konduktorom, za co byli mi ogromnie wdzięczni.

Przybywszy do Wilhelmsburga w sobotę o godzinie 5. zastałem już sporą garstkę Polaków w kościele, oczekujących na spowiedź. Pomimo ogromnego zmęczenia, zasiadłem do konfesyonału i do północy wyspowiadałem 135 Polaków. Zaraz na samym wstępie zauważyłem, że tu niezwykła pastoracya będzie, lecz prawdziwe misye, a zatem zaraz następnego dnia w niedzielę Palmową ułożyłem w porozumieniu z ks. proboszczem cały plan misyi, który był następujący: codziennie rano spowiedź do południa, a po południu od godziny 5 do północy. O godz. 8. nauka i błogosławieństwo Najśw. Sakramentu, a w niedzielę kazanie po sumie i wieczorem o godz. 8.

Mówiono mi, że kościół będzie pustkami świecił, że nikt nie przyjdzie i nie będzie do kogo mówić, a tymczasem przybywało codziennie Polaków tylu, że kościół, mogący pomieścić przeszło 2000 ludzi, był szczelnie nabity. Niemcy nie mogli wyjść z podziwu, mówili, że takiej frekwencyi nie

pamiętają jeszcze; bo też rzeczywiście patrząc na te zastępy Polaków, choć sił nie stawało, robiłem, co mogłem, aby czas dobrze wyzyskać. Bywało, że niektórzy po 7 i 8 godzin czekali przy konfesyonale, zanim przyszła na nich kolej. Dotąd wyspowiadałem już 1001 osób, wygłosiłem nauk ośm. W Wielki Piątek urządziłem nabożeństwo o godz. 3, bo Polacy cały dzień mieli wolny. Kościół nie mógł już pomieścić wszystkich, a „Gorzkie żale“ i „Dobranoc“ rozlegało się echem po ulicach Wilhelmsburga i wabiło mnóstwo ciekawych Niemców. Przybyło też i dwóch żandarmów i codziennie uczestniczyło w nabożeństwie. Dwa towarzystwa polskie, św. Stanisława biskupa i św. Józefa, świetnie się spisały w czasie misyi. W niedzielę Palmową byłem na zebraniu Stowarzyszenia św. Stanisława, gdzie uchwalono, że wszyscy członkowie w liczbie 180 mają się stawić do spowiedzi św., za kartkami dla lepszej kontroli; drugie Stowarzyszenie św. Józefa w liczbie około 160, również wzięło sobie za punkt honoru, żeby *in gremio* przybyć w Wielką Sobotę do spowiedzi św., a w Wielkanoc do wspólnej Komunii św. ze sztandarami. Obydwa nie zawiodły. W pierwsze święto wielkanocne z powodu kazania niemieckiego na sumie, pojechałem do Hamburga do kościoła św. Józefa, gdzie mieliśmy misyę z ks. Szymborem na Boże Narodzenie, gdyż zaprosił mnie tam z kazaniem ks. proboszcz Wilken, chcąc sprawić tutejszym Polakom miłą niespodziankę. Jak tutaj, tak podobnie i tam w obydwa święta przy cudownej pogodzie wiosennej kościół tak był przepełniony, że jakie 300 osób musiało stać na podwórzu. Po misyi podobno ogromna poprawa na lepsze nastąpiła. Wczoraj na zaproszenie tutejszej Polonii byłem na wieczorku, przedstawieniu amatorskiem, gdzie z wdzięczności za pracę i przemówienia sprawiono mi wielką owacyę.

Bogu dziękuję za to, co się zrobiło; cieszę się, że jako liche narzędzie mogłem się przyczynić do Jego chwały.

Misya w Tyśmienicy. — Misyę tę, na której pracowali księża Buchhorn, Brukwicki i Witaszek, opisuje ks. Superyor Buchhorn w liście, pisanym z Milatyna, dnia 3. kwietnia 1914.

„W poniedziałek (30. marca) powróciliśmy z Tyśmienicy z pracy misyjnej. Bogu dzięki składam za Jego dobroć i miłosierdzie, jakie okazał nam Misyonarzom i ludowi pobożnemu w tym czasie błogosławionym. Spodziewam się, że skutki tej misyi będą chyba bardzo błogie, zainteresowanie bowiem było nadzwyczajne. Lud, a zwłaszcza mężczyźni nadzwyczaj liczny brali udział. A misya była potrzebna.

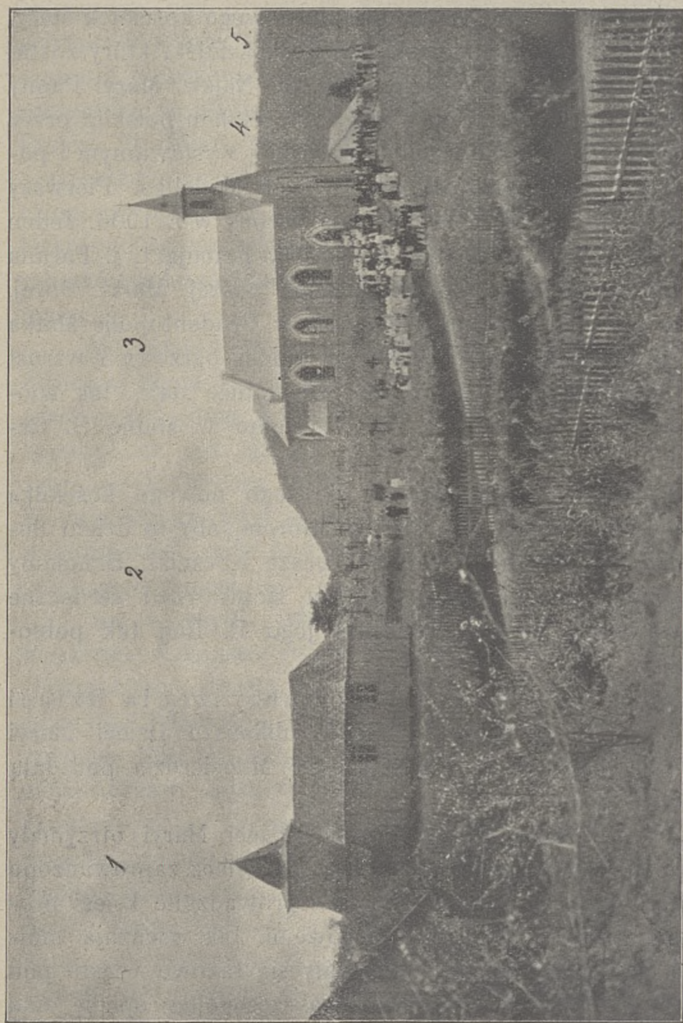
Księży spowiadających było dosyć. Rozpoczęliśmy misye w sobotę wieczorem, 21 marca, a zakończyliśmy postawieniem krzyża misyjnego w niedzielę, dnia 29. marca, po sumie. W środę 25. marca było oddanie całej parafii N. P. Maryi.

Tyśmienica, obok Stanisławowa leżąca mieścina, liczy przeszło 10.000 mieszkańców, z tego przypada na Rusinów 6.400, na Polaków 1.800 reszta zaś na żydów. Rusini brali żywy udział w misyi. Księża ruscy w liczbie 3 przez całą misyę spowiadali z nami. Dzień generalnej Komunii św. był naprawdę dniem uroczystym. Komunię św. rozdzielano wzdłuż kościoła, z jednej strony klęczeli Polacy, łacinnicy, z drugiej Rusini, grecko-katolicy. Rozdźwięku tu między narodowościami niema. Choć Rusinów jest blizko cztery razy więcej, język urzędowy w gminie jest polski, taksamo język polski jest wykładowym językiem w 6-klasowej szkole.

Kościół OO. Dominikanów, w którym mieliśmy misyę, ładnie odrestaurowany, stanowi ozdobę miasteczka; jest wewnątrz pięknie malowany, a utrzymywany czysto. Konwent OO. Dominikanów istnieje tu blizko 700 lat.

Tuż obok kościoła dominikańskiego jest dość obszerny kościół ormiański, lecz prawie zawsze pusty, bo OO. Dominikanie, choć wcale nie zazdrośni o chwałę Bożą, pilnują bardzo tego, aby parafianie ich uczęszczali nie do innego, lecz zawsze tylko do kościoła parafialnego. W miejscu są też 3 cerkwie grecko-katolickie. Do parafii łacińskiej należy 20 miejscowości, niektóre z nich oddalone o 15 do 20 klm. W ostatnich latach utworzono ekspozyturę w Markowcach i przyłączono do niej 6 najdalszych miejscowości. OO. Dominikanie byli dla nas bardzo serdeczni.

Ks. Brukwicki miał rekolekcye 3-dniowe u pp. Kozickich w Dorohowie i stamtąd przyjechał do Tyśmienicy".



1. Stary kościółek. — 2. Cmentarz. — 3. Nowy kościół. — 4. Plebania. — 5. Krzyż misyjny.

Nowy kościół w Rio Vermelho. — W poprzednim numerze naszych Roczników w korespondencyi z Guarany Mirim za-

mieściliśmy obietnicę, że w niniejszym numerze podamy fotografię nowego kościoła w Rio Vermelho. Przyjemnie nam jest, że obecnie spełnić tę obietnicę możemy. Na zamieszczonej ilustracyi widać obok kościoła nowego kościółek stary, biedny jak stajenka betleemska. Nowy kościółek, który został 8. grudnia 1913 r. poświęcony ku czci Najśw. Maryi Panny od Cudownego Medalika jest drugim kościołem polskim przez naszych konfratrów na ziemi brazylijskiej wystawionym i poświęconym pod wezwaniem Cudownego Medalika. Pierwszy zaś to kościół w Prudentopolis poświęcony w r. 1906. Jeden więc i drugi stan, w którym konfratrzy pracują t. j. Parana i S. Catharina ma obecnie kościół naszej Matki Bożej. Pociecha to dla nas nie mała. Jak w Prudentopolis Matka Najśw. promieniami swej łaskawej opieki ogrzewa i wzrost coraz pomyślniejszy dziełom naszym tamże daje, tak spodziewamy się, będzie i w Rio Vermelho w stanie S. Catharina.

Wiadomości odnoszące się do tego nowego kościółka i przebieg mozolnych zabiegów X. Górala, aby to dzieło doprowadzić do skutku, podały już nasze Roczniki. Składamy Kochanemu i Szanownemu Księdzu Konfratrowi serdeczne powinszowanie, że tym zabiegom jego P. Bóg tak pobłogosławił.

Rozdół. — Jubileusz Stowarzyszenia Dzieci Maryi. — Z okazyi 50-letniego jubileuszu Dzieci Maryi w Rozdole, piszą do nas tamtejsze SS. Miłosierdzia, pod datą 6. czerwca b. r.

„Na założenie Stowarzyszenia Dzieci Maryi otrzymały Siostry Miłosierdzia pozwolenie w r. 1862, lecz zaprowadzono je dopiero dnia 8. grudnia 1863 r. i prowadzono księgi protokolarne razem z dziećmi zakładowemi. Jak wskazują zapisywane protokoły zebrań, odbywały się takowe często pod dyrekcyą Przew. OO. Karmelitów, a szczególną opiekę nad Stowarzyszeniem widać w O. Przeorze Kaczkowskim i Haberze, którzy bardzo gorliwie i z wielką pieczołowitością

zajmowali się Stowarzyszeniem, jak świadczy ksiega protokolarna.

Często też przyjeżdżali Przew. Księża Misyonarze z rekolekcyami, jak Przew. O. Kiedrowski, wielki miłośnik Stowarzyszenia Dzieci Maryi, Przew. O. Mirucki, a w najnowszych czasach Najprzew. O. Dyrektor Słomiński w czasie swego rektorstwa w Małem seminaryum we Lwowie, tudzież ś. p. Przew. O. Block często bywał i inni Ojcowie Misyonarze przyjeżdżają corocznie na rekolekcye, które dla wielkiej liczby członków odbywają się w kościele parafialnym. Kobiety należące do Stowarzyszenia biorą w takowych udział. Liczba członków od założenia do czasu jubileuszu wynosi 785 Dzieci Maryi.

W roku 1913 przypadał 50-letni jubileusz założenia Stowarzyszenia Dzieci Maryi, lecz z powodu wielkich przeszkód z polecenia Najprzew. O. Dyrektora odłożono tę uroczystość na rok bieżący. Na obchód uroczysty obrano na życzenie O. Przeora, który jest Dyrektorem Stowarzyszenia, Zielone Święta, gdyż w parafii w tym czasie jest 40-godzinne nabożeństwo, więc tem bardziej wpłynie to na podniesienie całej uroczystości.

Już w wigilię udekorowano zielenią, wieńcami i niebieskiemi wstęgami cmentarz przed kościołem przed figurą Najśw. Panny, którą Dzieci Maryi ze składek postawiły, jako pamiątkę jubileuszu. Figura Najśw. Panny Niepokalanej wysoka na 1·50 m., artystycznie wykonana, umieszczona wśród zieleni drzew, pięknie i wspaniale wygląda, a wyciągając swe ramiona, zdaje się wołać: „Pójdźcie do mnie, moje dzieci, kryjcie się pod płaszcz miłosierdzia“. Naprzeciw w oknie kaplicy Stowarzyszenia na I. piętrze ustawiono liliami ubraną Matkę Boską Dzieci Maryi w koronie i medalu. W przeddzień samej uroczystości, t. j. pierwszego czerwca po południu odbyło się przyjęcie nowych Stowarzyszonych w liczbie 30, Aspirantek 17, Aniołów Stróżów 20 i Aspirantek na Aniołów 43. Przyjmował Przew. Ks. Dyrektor w kościele parafialnym przed ołtarzem cudownym Matki Boskiej Pocieszenia. Przy-

jęcie odbyło się bardzo pięknie, wszystkie dzieci w bieli, w wiankach na głowie, z gorejącemi świecami, na twarzach malowała się radość i szczęście tych niewinnych serduszek, na myśl, że obierają sobie Najśw. Pannę za Matkę i Królowę przyszłego życia; a gdy wspólnie głośno odpowiadały na zapytania Przew. Ks. Dyrektora, łza radości i szczęścia zabłysła w oczach przytomnych. Przew. Ks. Dyrektor zwracając się do nowo przyjętych zachęcał je, by naśladowały Niepokalaną Dziewicę w cnotach, a szczególniej, by ukochały cnotę czystości, posłuszeństwo i pokorę.

Po przyjęciu, w procesyi i ze śpiewem „Serdeczna Matko“ przeszły wszystkie Stowarzyszone do zakładu. Tutaj podziękowały Przew. Ks. Dyrektorowi i wręczyły małą pamiątkę jubileuszową. Z brzaskiem samej uroczystości kapela miejscowa zagrała obok statuy Najśw. Panny dwie pieśni na cześć Bogarodzicy, następnie z pobudką poranną obeszła całe miasto, a powróciwszy odegrała z wieży kościelnej na cztery strony świata hejnał, by cześć i chwała Maryi rozbrzmiała daleko, a głos przecudnej pieśni ulatywał hen, a echo niosło go aż przed tron Niepokalanej Dziewicy. Widać, że miłe były Jej te pienia, bo pomimo, że niebo było zachmurzone, nikły chmury i śliczna nastała pogoda. O godz. 6. odprawił Mszę św. Przew. Ks. Dyrektor Stowarzyszenia na intencyę żywych członków, a dzieci szkolne śpiewały pieśni do Matki Boskiej. Przed samą generalną Komunią św. przemówił w krótkich słowach Przew. Ks. Słupina, Misyonarz, zaznaczając, że „wielkie to szczęście, iż Pan Bóg pozwolił doczekać tego czasu jubileuszowego, a obecna chwila przyjęcia Pana Jezusa powinna być najważniejszą z wszystkich w czasie tej uroczystości i t. d.“.

Do Komunii św. przystąpiła niemal cała parafia, nietylko dziewczęta, ale i kobiety, zdobne w medale Dzieci Maryi, a także wielu mężczyzn. Miło było spojrzeć, jak każda pierś ozdobiona w medal Niepokalanej Dziewicy odchodziła pełna niebiańskiej radości, ciesząc się obecnością Pana Jezusa, a niebieskie wstążki poruszały się jak fale kryształowej,

cicho a poważnie płynącej rzeki — był to niejako tryumfalny pochód do tronu Niepokalanej Dziewicy, by serca Jej poświęcone oddała Swemu Synowi.

Po Mszy św. odczytano głośno Akt ofiarowania się Najśw. Pannie i odśpiewano *Magnificat*. Następnie były jeszcze cztery Msze święte, nawet w obrządku greckim. Przed sumą odbyło się poświęcenie chorągwi Dzieci Maryi i statuy. Na chrzestnych rodziców zaproszono młodego hrabiego Lanckorońskiego i obie młode hrabianki Lanckorońskie; mile przyjęli zaproszenie, lecz że nie mogli być pod ten czas w Rozdole przeznaczyli zastępców, załączając na ten cel hojne datki. Zaproszone państwo do asysty przy poświęceniu przybyli w liczbie 30 osób, tak panie jak panowie. Zebrani goście wpisali się do księgi pamiątkowej i otrzymali obrazki jubileuszowe. Gdy procesya w towarzystwie 10 księży stanęła przy figurze pięknie w kwiaty przystrojonej, muzyka zaintonowała pieśń „Bogurodzico“, a z tysiąca piersi uniósł się głos pieśni, przebijając niebios sklepienia, by dotrzeć do stóp Niepokalanej. Panie trzymały za wstążki chorągwi, a delegaci hrabstwa za trzon, zaś na tacy trzymał syn delegata piękną koronę z kwiatów, obok w bieli szły dwie druchny. Chorągiew otoczyły dzieci zakładowe w bieli z liliami i ośm kobiet, jubilatek Stowarzyszenia ze świecami.

Poświęcenia dokonał Przew. Ks. Proboszcz. Przemówił on w krótkości do licznie zebranej publiczności, poczem w pochodzie, z muzyką i pieśnią na ustach powrócono do kościoła.

Rozpoczęła się suma uroczysta, chór Dzieci Maryi śpiewał stosowne pieśni. Kazanie wygłosił na dworze Przew. Ks. Słupina, wyłuszczając przepięknie wzniosłe znaczenie i zadanie kobiety, jako dziewicy, niewiasty, żony i matki, na łonie rodziny i w społeczeństwie. Przy końcu zapowiedział przyjęcie mężczyzn i chłopców do Cudownego Medalika, którego dokonał przed nieszporami. Przeszło 350 osób przystąpiło. Po kazaniu rozdano między publiczność karteczki i książeczki p. t. „Wiadomość o Cudownym Medaliku“.

Po południu, na zebraniu Dzieci Maryi odczytano telegraficznie przysłane życzenia Najprzew. O. Dyrektora Słomińskiego i listy gratulacyjne Stowarzyszeń ze Lwowa, Krakowa i t. d. i rozdano obrazki pamiątkowe.

O godz. 6 nieszpory i procesya z Najświętszym Sakramentem, *Te Deum* i pieśń „Ciebie na wieki".

Wieczorem odbyło się w klasztorze u Sióstr przedstawienie i obrazy żywe, zastosowane do uroczystości.

Uroczystość ta utkwiła głęboko w sercach uczestników, wpłynęła bardzo dodatnio na wszystkich i zachęciła do nabożeństwa do Najśw. Panny. Poznali i zrozumieli opiekę Tej wszechwładnej Pani".

Z Domu Macierzystego w Paryżu.

Dnia 14. lutego b. r. obchodzono w Domu Macierzystym Zgromadzenia wyjątkową uroczystość, drogą dla każdego Misyonarza. W dniu tym mianowicie doszedł N. O. Generał Fiat w swych rządach liczby lat, miesięcy i dni, równającej się długości generalatu samego św. Założyciela.

Za specyalnym indultem papieskim odprawił O. Generał uroczystą wotywę o św. Wincentym. Ojciec św. Pius X. wystosował z tej okazyi odręczny list do O. Generała, który tu przytaczamy w dosłownem brzmieniu:

Dilecto filio religioso viro Antonio Fiat Congregationis, vulgo Lazaristae, Superiori generali, non solum ob virtutum exempla et eximia caritatis opera, sed etiam regiminis diuturnitatem Divi Vincentii a Paulo eiusdem Congregationis Institutoris aemulatori, gratulamur ex animo, et fausta quaeque ad multos etiam annos a Domino adprecantes, imploratam facultatem libenter concedimus, et eidem Superiori ac universis utriusque sexus Congregationis sodalibus Apostolicam Benedictionem amantissime impertimus.

Ex Aedibus Vaticanis die 2 Februarii 1914.

Pius PP X.

Nowy Kalendarz Zgromadzenia.

Z powodu reformy Brewiarza posłano, stosownie do rozporządzenia św. Kongregacyi Obrzędów, Kalendarz Zgromadzenia do Rzymu do rewizyi i ostatecznej aprobaty. Podajemy tu odnośny dekret rzymski.

CONGREGATIONIS MISSIONIS

Praesens Kalendarium, juxta Rubricas et Decreta novissima redactum, Sacra Rituum Congregatio, vigore facultatum sibi specialiter a Sanctissimo Domino Nostro Pio Papa X tributarum, revisione rite peracta, recognovit ac probavit, illudque in universa Congregatione Missionis adhiberi mandavit: servatis de cetero Rubricis et Decretis, praesertim quoad Festa Dedicationis et Titularis Ecclesiarum necnon Patronorum cujusque loci. Contrariis non obstantibus quibuscumque.

Die 2 Decembris 1913.

Fr. S. Card. Martinelli, Praefectus.

L † S   † Petrus La Fontaine, Ep. Charystien, Secretarius.

Omnia sunt ut in Kalendario Ecclesiae universalis, exceptis tantummodo nonnullis variationibus et Festis, quae specialem habent relationem cum Congregatione Missionis, videlicet:

JANUARIUS.

29. S. Francisci Salesii, Ep., Conf. Doct., *duplex majus.*

FEBRUARIUS.

17. B. Francisci Clet, Mart., *duplex majus.*

APRILIS.

27. Translatio S. Vincentii a Paulo, Conf., *duplex majus.*

JULIUS.

19. S. Vincentii a Paulo, Conf., Congregationis Missionis Fundatoris, *duplex 1. class. cum Octava.*
20. S. Hieronymi Aemiliani, Conf., *duplex*, Com. Oct. ac S. Margaritae, Virg. Mart.
21. De Octava, *semiduplex.* Com. S. Praxedis, Virg.
22. S. Mariae Magdalenae Poenitentis, *duplex*, Com. Octavae.
23. S. Apollinaris, Ep. Mart., Com. Oct. et S. Liborii, Ep. Conf.
24. De Octava, *semiduplex.* Com. Vigil. ac S. Christinae Virg. et Mart.
26. S. Annae Matris B. M. V., *duplex 2. class.*, Com. diei Octavae S. Vincentii a Paulo.

AUGUSTUS.

21. S. Joannae Franciscae Fremiot de Chantal, *duplex majus.*

SEPTEMBER.

27. Depositio S. Vincentii a Paulo, Conf., *duplex majus*. Commem. Ss. Cosmae et Damiani Mart.

NOVEMBER.

7. B. Joannis Gabrielis Perboyre, Mart., *duplex majus*. Comm. Octavae.

16. *In Ecclesiis consecratis:* Dedicatio omnium Ecclesiarum Congregationis, *duplex 1. class. cum Octava.*

23. *In Eccles. Consecrat.:* Octava Dedicat. Eccles. Congreg., *duplex majus.* — Commem. S. Clementis, Papae Mart., et S. Felicitatis, Mart.

27. Manifestatio B. Mariae Virg. Immaculatae a Sacro Numismate, *duplex 2. classis.*

DECEMBER.

20. Patrocinii S. Vincentii a Paulo, Con. *duplex majus.*

Zmarli Misyonarze:

Ks. Stanisław Grabowski, 1 kwietnia w Krakowie (Nowa Wieś), żył lat 31, w Zgromadzeniu 14.

Ks. Stefan Higgins, 2 kwietnia w St. Louis (prow. zachodnia St. Zjedn.), — 66, — 44.

Ks. Antoni Rongé, 3 kwietnia w Paryżu, — 79, — 49

Ks. Łukasz Gracy, 27 marca w Filadelfii (prow. wschodnia St. Zjedn.), — 59, — 40.

Br. Ludwik Altmeyer, 10 kwietnia w Perryville, prow. zachodnia St. Zjedn.), — 76, — 46.

Br. Mikołaj Donay, 27 kwietnia w Paryżu, — 93, — 63

Ks. Franciszek Mac Manaman, 1 maja w Perryville (St. Zjedn.), — 29, — 13.

Ks. Augustyn Fornatore, 30 kwietnia w Ferarze (prow. rzymska), — 64, — 45.

Ks. Józef Chefdhôtel, 7 maja w Konstantynopolu, — 71, — 47.

Ks. Jan Chrzc. Ferrando, 16 maja w Scarnafigi (prow. turyńska), — 64, — 38.

Ks. Karol Duplan, 30 maja w Theux (prow. niemiecka), — 74, — 48.

Br. Leoncyusz Perez, 6 maja w Oaxaca (prow. meksykańska), — 85, — 64.

Ks. Karol Mustel, 9 czerwca w Tinghaj (połudn. prow. chińska), — 55, — 34.

Ks. Szymon Lumesi, 13 czerwca w Rio-de-Janeiro (prow. brazylijska), — 63, — 22.